

KAROL MAY

MASKARADA W MOGUNCJI

SCAN-DAL

OKO W OKO

Bal trwał w najlepsze. Jednakże opuścili go pułkownik von Winslow, von Ravenow, sekundanci oraz Kurt wraz z hrabią i paniami.

Kurt, choć miał zamiar przespać się przed pojedynkiem, nie mógł zasnąć. Siedział w swoim pokoju i czytał znakomite dzieło generała von Clausewitza.

Nastał poranek; brzask zmaścił światło lampy. Zapukano cicho do drzwi. Weszła Różyczka, już ubrana do wyjazdu.

— Dzień dobry, Kurcie! — powitała go, wyciągając rękę. — Czy spałeś?

— Nie.

— Pisałeś testament? — w głosie jej słychać było żartobliwe nutki.

— Moja droga Różyczko — powiedział poważnym tonem — wynik pojedynku nawet dla najlepszego szermierza i strzelca jest zawsze niepewny. A jeśli się wychodzi zwycięsko, to przygnębia myśl, że się zabiło lub zraniło człowieka.

— Masz rację, ale wcale nie jestem zaniepokojona. A co się tyczy twoich przeciwników, to nie miej wyrzutów sumienia. Słyszałeś, że pragną twojej śmierci.

— Ale ja ich nie zabiję.

— Proszę cię jednak, abyś nie narażał się lekkomyślnie na niebezpieczeństwo. Powiadają, że von Ravenow jest dobrym szermierzem, a pułkownik wyśmienitym strzelcem.

— Nie martw się! Czuję swoją przewagę.

— A moja kokardka, Kurcie? Miała być talizmanem.

— Noszę ją na sercu — uśmiechnął się. — Zastanawiałaś się, czy zażadasz jej z powrotem?

— To zależy, czy będę z ciebie zadowolona. Ale już pół do czwartej, pora iść.

— Właśnie na tę godzinę umówiłem się z von Platenem na rogu ulicy.

— Wyjdźmy więc po cichu.

Zaczęła zapinać płaszcz, a Kurt ośmielił się pomagać jej w tym.

— O Boże! Jeśli jednak trafi cię kula... — wyszeptała i jej oczy zaszyły łzami.

— Nie lękaj się, Różyczko! Chodź nie możemy się spóźnić! Opuścili dom tak cicho, że nikt ich nie usłyszał. Na rogu ulicy czekał już von Platen w powozie. Przywitawszy się, wsiedli. Z bocznej ulicy wyjechały dwa inne zaprzęgi.

— To pułkownik i Ravenow — wyjaśnił von Platen, który ze swego miejsca wszystko doskonale widział. — Są bardzo punktualni, ale my będziemy przed nimi. Henryku, nie

pozwoł się wyprzedzić! — zawołał do stangreta.

Służący trzasnął z bicia na znak, że zrozumiał polecenie. Konie ruszyły galopem. Mknęli tak szybko, że dziesięć minut przed czwartą dotarli do browaru. Skręcili w boczną aleję parku i wkrótce powóz zatrzymał się. Niebawem nadjechały pozostałe. Przywitano się lekkim skinieniem głowy. Służący stanęli na warcie, lekarz przygotował instrumenty i opatrunki.

Kurt rozesłał pled na ziemi pod starym dębem.

— Stań tutaj — zwrócił się do Różyczki. — Stąd będziesz mogła wszystko dobrze widzieć, a ten pled uchroni cię przed wilgocią; trawa bardzo mokra.

— Dziękuję ci — popatrzyła na niego ciepło.

Sekundanci von Platen i von Golzen obeszlili plac. Von Golzen podszedł do powozu Ravenowa i przyniósł tureckie szable.

— Idź już, drogi Kurcie — szepnęła Różyczka. — Von Ravenow czeka...

— Czy zniesiesz widok krwi? — zatroskał się.

— Mam nadzieję, że to nie będzie twoja.

Porucznik von Ravenow stał nad szablą, którą von Golzen położył na ziemi. Kurt podszedł do drugiej. Również pułkownik i adiutant, świadkowie pojedynku, podeszli bliżej. Major von Palm, jako arbiter, był obowiązany zaproponować pojednanie. Podszedł więc do przeciwników i zapytał:

— Pozwolą panowie, że powiem słówko?

— Proszę — odezwał się Kurt.

— Ale ja nie! — krzyknął von Ravenow. — Zostałem ciężko znieważony. Nie traćmy słów na próby pojednania.

— Nic więcej zrobić nie mogę. Byłem gotów wysłuchać pana majora. Proszę to wziąć pod uwagę — powiedział poważnie Kurt.

— Tchórzem jest każdy, kto oświadcza, że gotów odstąpić od pojedynku — zgryźliwie zauważył von Ravenow, podnosząc szablę. — Zaczynamy!

Kurt podniósł swoją. Obaj sekundanci wyciągnęli szable i stanęli z boku. Walka miała się rozpocząć na znak dany przez majora von Palma. Naraz odezwała się Różyczka:

— Poczekajcie jeszcze chwilę, panowie. Zanim zaczniecie się pojedynkować, chciałabym zapytać podporucznika von Ravenowa, czy wciąż jeszcze twierdzi, że mnie odprowadził do domu?

Ponieważ oczy obecnych skierowały się na niego, nie mógł zlekceważyć tego pytania. Rzekł więc szydyczko:

— Dam odpowiedź szablą. Na takie pytania odpowiada się tylko krwią!

Obaj przeciwnicy zajęli stanowiska. Kurt stał spokojny i opanowany. Von Ravenow zagryzał wargi.

Major podniósł rękę, dając znak do rozpoczęcia pojedynku. Von Ravenow natarł od razu bardzo gwałtownie. Jednakże Kurt z łatwością odparował cios i sam zaatakował błyskawicznie; w dodatku tak silnie, że szabla wyleciała z ręki von Ravenowa. Sekundanci skrzyżowali szpady między przeciwnikami. Lekarz podniósł szablę i zwrócił ją von Ravenowowi, a ten natychmiast podjął walkę. Obie ciężkie klingi iskrzyły się w zderzeniu. Nagle rozległ się ostry dźwięk stali i głośny krzyk. Wydał go von Ravenow. Szabla przeleciała dużym łukiem nad placem i świadkowie z przerażeniem ujrzeli odrąbaną dłoń na rękojeści.

Kurt opuścił szablę.

— Panie doktorze, proszę potwierdzić, że podporucznik von Ravenow jest niezdolny do służby! Taki był warunek pojedynku.

Von Ravenow stał nieruchomo. Z rany krew płynęła strumieniem. Sekundant podszedł, aby go podtrzymać. Nie mówiąc ani słowa pozwolił się ułożyć na trawie i przez dłuższą chwilę patrzył na to, co pozostało z jego dłoni, po czym przymknął powieki.

— No, jak doktorze? — zapytał Kurt.

— Ręka jest stracona.

— Sądzę, że warunek spotkania został spełniony.

— Tak. Podporucznik von Ravenow będzie musiał wystąpić ze służby.

— A więc pojedynek skończony. Mogę odejść.

— I ja także — oświadczył von Platen. Następnie szeptem powiedział do Kurta: — Włada pan szablą jak istny diabeł! Wykazał się pan niespotykaną wprost zręcznością. Dużo będą mówić o tym pojedynku! Czy jest pan równie wyćwiczony w strzelaniu z pistoletu?

— Myślę, że tak.

— Nie lękam się więc o pana. A teraz proszę wybaczyć, ale muszę porozmawiać z von Ravenowem.

Kurt podszedł do Różyczki. Dziewczyna serdecznie uściśnęła obie jego dłonie. Tymczasem lekarz zajął się von Ravenowem. Sporo minut upłynęło, nim zdołał zatamować krew i założyć opatrunek. Ranny zgrzytał zębami z wściekłości i bólu. Spoglądał na ręce lekarza i od czasu do czasu rzucał nienawistne spojrzenie w kierunku Kurta.

— Kaleka! — jęczał. — Nieszczęsny kaleka! — Zwrócił się do von Winsłowa: — Czy przyrzeka pan, że go zastrzeli?

— Przysięgam! Nie zgodzę się na żadne pojednanie.

— To jedyna pociecha dla mnie! Doktorze, muszę się przyglądać tej walce! Niech się pan nie sprzeciwia!

Lekarz namyślał się przez chwilę.

— Dobrze. Ale ostrzegam: najmniejsze podniecenie może panu zaszkodzić. Właściwie powinien pan natychmiast udać się do domu.

— To by mi jeszcze bardziej zaszkodziło! Więcej: zabiłoby mnie. Muszę widzieć, jak ten człowiek zginie! Jedyne to złagodzi mój ból po utracie ręki! Nie każcie mi czekać, zaczynajcie!

Von Platen stojąc obok przysłuchiwał się rozmowie. Skinął na adiutanta:

— Panie kolego, jestem gotów. A pan?

Von Branden kiwnął głową potakująco i obaj poszli na środek placu. Odległość wyznaczono za pomocą dwóch wetkniętych w ziemię szpad. Adiutant przyniósł pudło z pistoletami pułkownika. Zauważywszy to, Kurt zbliżył się, wziął w rękę jeden z pistoletów i obejrzał z miną znawcy.

— Wyśmienity! Ponieważ jednak nie znam tego typu, wolno mi chyba oddać strzał próbny?

— Strzelaj pan! — zgodził się von Branden. Ranny uśmiechnął się drwiąco.

Kurt nabił i obejrzał się za celem. Wysoko na gałęzi rozłożystej sosny wisiała wielka szyszka. Wskazał na nią i powiedział:

— A więc trafię w tę szyszkę.

Mierzył długo, zanim wypalił. Rozległo się wieloznaczne chrząkanie. Nie trafił bowiem w szyszkę, lecz w odległą od niej o metr gałąź.

Bogu dzięki, marnie strzela! — ucieszył się w duchu pułkownik. Tak samo pomyśleli pozostali. Von Platen odciągnął Kurta na bok.

— Ależ, na miłość boską, drogi Ungerze — rzekł z troską w głosie — jeśli pan tak strzela, jest pan zgubiony! Pułkownik zapewnił słowem honoru von Ravenowa, że zabije pana bez litości!

— Niech spróbuje! Przekonałem się, że ten pistolet jest istotnie doskonałej roboty.

— Kpi pan sobie? Mimo znakomitego pistoletu spudłował pan.

— Wręcz przeciwnie, dokładniej nie można trafić. Wprawdzie wskazywałem szyszkę, celowałem jednak w ten właśnie punkt, w który trafiłem. Zgodzi się pan chyba ze mną, że kto oszukał przeciwnika, ten już w połowie wygrał...

— Ach, na Boga, jest pan groźnym przeciwnikiem! Nie chciałbym się bić z panem!

Obaj sekundanci nabili broń. Okryto ją chustką. Pułkownik i Kurt wyciągnęli po pistolecie. Teraz znów nastąpiła chwila, kiedy major powinien był interweniować.

— Moi panowie! — zaczął. — Czuję się w obowiązku...

— Spokojnie, kolego! — przerwał von Winslow. — Nie chcę słyszeć ani słowa!

Przed chwilą widział przecież, jak źle Kurt strzelał. To spotęgowało jego pewność siebie i butę.

— Ale ja proszę, aby pan major powiedział, co ma do powiedzenia — odezwał się Kurt. — Nie należy się zabijać, skoro są inne sposoby rozstrzygnięcia sporu. Oświadczam, że będę zupełnie zadowolony, jeśli pan pułkownik poprosi mnie o wybaczenie.

— O wybaczenie?! — oburzył się pułkownik. — Tylko szaleniiec może tak mówić! Nie ustąpię, gdyż dałem słowo honoru, że jeden z nas zostanie na placu. Zaczynamy!

Zajęli stanowiska. Obaj jednocześnie podnieśli broń. Kurt celował w rękę von Winslowa. Głowę lekko odchylił w kierunku majora, co miało świadczyć, że z uwagą czeka na jego komendę. Musiał wyprzedzić przeciwnika. Oczywiście nie aż tak, aby to poczytano za nieuczciwość; po prostu o sekundę wcześniej należało spuścić kurek. Major zaczął liczyć:

— Raz... dwa... trzy! Padły strzały.

— O, Boże! — zawołał pułkownik. Pistolet wypadł mu z ręki. Lewą dłonią chwycił się za prawą.

— Ugodzony? — zapytał sekundant.

— Tak, w rękę — jęknął.

Lekarz podszedł i zaczął badać ranę. Pokiwał głową i spojrzał na Kurta, który wciąż stał na swoim stanowisku.

— Zmiażdżona, całkowicie zmiażdżona — oświadczył rozcinając nożycami rękaw do łokcia. — Kula przebiła dłoń, rozerwała przegub i przeszła na wylot przedramię. Chyba leży niedaleko stąd.

— Czy uratuje mi pan rękę? — wykrztusił ze strachem pułkownik.

— Nie, trzeba amputować.

— A zatem niezdolny do służby? — zapytał Kurt.

— Tak — potwierdził lekarz.

— Mogę więc już opuścić stanowisko. — Kurt rzucił pistolet i odszedł. Różyczka oczekiwała go z błyszczącymi oczami. Ogromna duma malowała się w jej spojrzeniu.

— Znowu zwyciężyłeś! — szepnęła radosnym głosem.

Von Platen odjechał, młoda para pieszo poszła do domu. Był jeszcze całkowicie uśpiony, dostali się do środka nie zauważeni przez nikogo. Różyczka odprowadziła Kurta aż

do jego pokoju.

— Wejdz na chwilę — poprosił. — Musimy skończyć rozmowę.

— Dobrze. A więc czy naprawdę nie wiesz, jak postąpić?

— Nie wiem. Właściwie powinienem złożyć meldunek pułkownikowi, ale skoro sam brał w tym udział... Odpoczniemy, Różyczko, a potem się zastanowimy. W każdym razie dziękuję Bogu, że mnie ustrzegł od śmierci. I dziękuję tobie! Przecież miałem przy sobie talizman, który mi dałaś.

— Ach, tę kokardkę! Mój rycerzu! Obroniłeś honor swej damy!

— A co będzie z talizmanem? Czy chcesz, bym ci go zwrócił?

Stała w piasach.

— Najpierw odpoczniemy. Tak ważna sprawa wymaga namysłu.

— Teraz jesteś naprawdę złą Rosetą! Przrzekłaś, że rozstrzygniesz ją po pojedynku.

— Być może, że tak powiedziałam, ale czy zależy ci na pośpiechu?

— Rozumie się — odparł wesoło. — Muszę wiedzieć, czy talizman zostanie wykupiony czy nie.

— Pocałunkiem?

— Tak.

Stała przed nim wzruszona. Położyła mu rękę na ramieniu i rzekła:

— Drogi Kurcie! Jak mogłabym nie być z ciebie zadowolona? Przecież dla mnie narażałeś życie! Dlatego pragnę wykupić talizman, jeśli tego sobie życzysz.

Wyjął spod munduru kokardkę i podał jej.

— Oto on, Roseto.

— A oto pocałunek.

Zarzuciła mu rękę na szyję, zbliżyła usta do jego warg i delikatnie pocałowała.

— To ma być pocałunek?

— A niby co to było? — roześmiała się.

— No, pocałunek, ale taki, jakim się na przykład całuje ciotkę, która ma szpetny, długi nos i kilka brodawek na nim.

— Czy wiele ciotek całowałeś, że wiesz tak dobrze?

— O, nie! Stare ciotki całuje się niechętnie.

— A kogo chętnie?

— Młode, śliczne Różyczki.

— Co ty wygadujesz? Muszę cię za to ukarać. Nie chcę wcale tego talizmanu. Bierz go sobie z powrotem!

Chwycił kokardkę, położył ją na stole i rzekł z poważną miną:

— W tak doniosłych sprawach, jak zwracanie talizmanu trzeba postępować uczciwie i bez egoizmu.

— O czym ty mówisz?

— Zapłaciłaś za talizman, prawda? Skoro więc mi go zwracasz, jestem obowiązany oddać zapłatę.

Serce jej żywiej zabiło. Krew uderzyła do głowy, skronie i policzki pałały! I naraz ciemno przed oczami, coraz ciemniej... Zamknęła powieki.(I wtedy poczuła, że ręce Kurta ją obejmują.

— Różyczko, droga Różyczko, spójrz na mnie!

— Nie! Nie mogę...

— Czy jesteś zła na mnie?

— O, nie, wcale nie! — szepnęła.

Zaczął całować jej oczy — prawe, potem lewe. Później jego ciepłe wargi dotknęły jej policzków i... wreszcie ust. Naprzód leciutko, potem mocniej i z każdą chwilą gwałtowniej. To odrywały się, to znów przyciskały do nich. Czy miała się bronić? Ani nie mogła, ani nie chciała tego robić.

— Zła jesteś na mnie, Różyczko? — spytał.

— Nie, Kurcie!

Jego pocałunki stały się jeszcze gorętsze. Bóg wie, ile by to trwało, ale w sieni rozległy się kroki służącego.

Otworzyła oczy, a Kurt szybko odskoczył od niej. Nigdy go jeszcze takim nie widziała. Niby ten sam, a zupełnie inny. Może dlatego zdawało się jej, że ich dusze się zespoliły? Ujął ją za ręce i rzekł miękko:

— Widzisz, Różyczko, to był właśnie pocałunek. Odzyskała swobodę.

— Nie takim, jakim się całuje ciotkę?

— Starą...

— Z długim nosem...

— I z brodawkami.

Roześmieli się oboje. Różyczka zapomniała o pojedynku i o tym, że jest wnuczką hrabiego, Kurt zaś, że jego ojciec był zwykłym sternikiem. Dziewczyna pierwsza ochłonęła.

— Muszę już iść — powiedziała.

— Och, jaka szkoda!

— Do widzenia, mój drogi!

— Do widzenia, Różyczko! Spróbuję trochę się przespać i na pewno będę śnił o tobie.

— A opowiesz mi sen?

— Oczywiście!

Kiedy wyszła długo stał przy drzwiach i trzymając rękę na sercu, mówił do siebie:

— O, jakże kocham, jakże ją kocham!

A ona nie mogąc usiedzieć na miejscu, w kółko chodziła po swoim pokoju i szeptała:

— Co to było? Co ja uczyniłam? O mój Boże, tego nie mogę opowiedzieć mamie!

Nigdy, przenigdy!

Rozległo się pukanie i weszła służąca. Zdziwiła się, że panienka już nie śpi. A kiedy zobaczyła, że posłanie jest nietknięte, zdumienie jej nie miało granic.

— Mój Boże, panienka wcale nie spała!

— Nie — potwierdziła. — Przynieś mi czekoladę. Tylko się pośpiesz, bo zaraz wyjeżdżam.

Była punktualnie ósma, gdy służący pomógł Różyczce wsiąść do powozu.

— Do ministra wojny — rzuciła stangretowi.

Jego ekscelencja spał jeszcze. Musiała poczekać w salonie. Kiedy się obudził, zameldowano mu, że niejaka panna Sternau ośmieliła się go niepokoić o tak wczesnej porze. Minister dobrze znał to nazwisko. Ubrał się szybko i kazał wprowadzić dziewczynę do gabinetu.

Służący w przedpokoju słyszał najpierw, że interesantka opowiada coś długo ze swadą, a potem nastąpiła ożywiona rozmowa. Panna Sternau opuściła gabinet z rozpromienioną twarzą, jego ekscelencja zaś kazał natychmiast sprowadzić podporucznika von Platena z huzarów gwardii.

Kiedy Różyczka wróciła do domu, zastała domowników przy śniadaniu.

— Gdzie byłaś? — spytała matka.

Gdy wyznała, że u ministra, zasypano ją pytaniami. Chcąc nie chcąc, musiała na wszystkie odpowiedzieć.

Tymczasem von Platen zląkł się co niemiara, gdy usłyszał rozkaz ministra. Z koszar pośpieszył do domu, aby się przebrać w strój galowy. Był przeświadczony, że chodzi o pojedynek. Ale skąd minister tak wcześnie dowiedział się o tym? Kiedy wszedł do przedpokoju, służący zapytał:

— Pan podporucznik von Platen?

— Tak.

— Jego ekscelencja jest jeszcze zajęty. Niech pan tymczasem tutaj wejdzie.

Von Platen omal się nie cofnął; gdy stanął w drzwiach małego, bogato umeblowanego buduaru, ujrzał panią ministrową siedzącą na szeszlunku z książką w ręku. Na jego widok podniosła się lekko i skinęła przyjaźnie:

— Zbliź się, pan, podporuczniku von Platen. Mój mąż jeszcze nie może pana przyjąć, poleciłam więc, aby przyprowadzono pana do mnie. Chciałabym się dowiedzieć o pewnym zdarzeniu, którego podobno był pan świadkiem.

Drzwi, które prowadziły do sąsiedniego pokoju, były lekko uchylone. Podporucznik zorientował się w sytuacji. Minister dowiedział się o pojedynku, ale nie chciał od razu nadawać tej sprawie biegu służbowego. Von Platen miał opowiedzieć jego żonie o wszystkim, a minister wysłucha tego z ukrycia i będzie mógł powziąć decyzję. Okoliczność, że wezwano jego, sekundanta Kurta, kazała dobrze wróżyć młodemu huzarowi.

— Powiadają, że zna pan podporucznika Ungera? — zaczęła ministrową.

— Mam honor być jego przyjacielem.

— A więc dobrze mnie poinformowano. Pozwoli pan, że będę mówiła wprost. Ten podporucznik pojedynkował się dzisiaj rano?

— Owszem, nie proszono mnie o dyskrecję.

— Z kim?

— Ze swoim podpułkownikiem i z podporucznikiem von Ravenowem z tego samego szwadronu.

— A z jakim wynikiem?

— Von Ravenowowi odciął prawą rękę, pułkownikowi zmiażdżył dłoń. Obaj przeto nie mogą dalej pełnić służby.

— Mój Boże, co za nieszczęście. Ale proszę o szczegóły poprzedzające te wypadki.

Von Platen opowiedział o zmowie oficerów, o przyjęciu, jakiego doznał Kurt, o oburzającym stosunku do niego i o męskiej reakcji Ungera. Mówił prawdę i nie rzucił najmniejszego cienia na przyjaciela. Kiedy skończył, ministrowa powiedziała:

— Dziękuję panu, panie podporuczniku. Pański przyjaciel jest interesującym człowiekiem. Myślę, że czeka go świetna przyszłość. Ale jak zamierza uniknąć następstw nieszczęsnego pojedynku?

— Uniknąć? Unger nie jest tchórzem! Na pewno zamelduje o wszystkim przełożonym, choć nie on powinien odpowiadać za to, co się wydarzyło.

— Zdaje się, że ufa mu pan całkowicie?

— Bywają ludzie, którzy z miejsca zdobywają powszechne zaufanie. Do takich właśnie zaliczam Ungera.

— Mimo to sytuacja jest nader przykra. Proszę więc pana, abyś nie wspominał nikomu, co było treścią naszej rozmowy.

W tym momencie drzwi do drugiego pokoju zostały zamknięte. Małżonka ministra łaskawie pożegnała podporucznika. Skłoniwszy się głęboko, wyszedł. Ledwie zrobił dwa kroki, służący poprosił go do ministra.

Wszedł do gabinetu. Minister czytał — albo udawał, że czyta — jakieś akta. Odłożył je natychmiast, podniósł się i uśmiechnął łagodnie. Obejrzawszy od stóp do głów młodego oficera, powiedział życzliwie:

— Kazałem pana wezwać, aby obarczyć go ważną misją, panie von Platen — i jak gdyby szukając stosownych słów, dodał po chwili:

— Słyszałem, że brał pan dziś udział w polowaniu?

Von Platen od razu zorientował się, że minister ma na myśli pojedynkę. Odpowiedział więc:

— Według rozkazu, ekscelencjo!

— Niestety, dowiedziałem się — mówił minister — że przebieg polowania był fatalny. Dwaj panowie zapomnieli, że z bronią należy obchodzić się ostrożnie.

— W istocie, ekscelencjo. Wprawdzie nie są ranni śmiertelnie, ale według orzeczenia lekarza stracili zdolność do służby.

— To rzecz godna ubolewania. Poinformowano mnie, że poszkodowani są sobie sami winni. Czy sprawa nabrała rozgłosu?

— Jestem przekonany, że wręcz przeciwnie, ekscelencjo.

— Pragnę więc, aby zachowano ją w najgłębszej tajemnicy. Uda się pan natychmiast do uczestników polowania, aby im w moim imieniu surowo nakazać milczenie. Obaj ranni zapewne nie zamierzają opuścić swoich pokojów, ale ponadto żądam, aby nie przyjmowali wizyt; nikt nie powinien wiedzieć, w jakim są stanie. Mają się tak zachowywać, jak gdyby byli skazani na areszt domowy. Udaję się na audiencję do jego królewskiej mości i zdam mu sprawę ze zdarzenia. Punktualnie o jedenastej niech pan się u mnie zamelduje — gestem pożegnał podporucznika.

Von Platen poszedł najpierw do pułkownika. Zastał go w łóżku, otoczonego bliskimi. Żona von Winslowa podeszła do von Platena. Twarz jej pałała nienawiścią.

— Podporuczniku! — zawołała. — Muszę panu powiedzieć...

— Przepraszam łaskawa pani — przerwał jej szybko. — Podporucznikiem nazywają mnie tylko koledzy i tylko ci, których do tego upoważnia przyjaźń.

Podniosła głos:

— No dobrze, mój szanowny panie podporuczniku von Platen! Muszę panu oświadczyć, że to podłość w ten sposób okaleczył mego męża!

Von Platen spodziewał się, że pułkownik skarci żonę. Gdy to nie nastąpiło, rzekł:

— Jeśli mowa o podłości, to w każdym razie nie doświadczył jej na sobie pan pułkownik. Nie będę zważał na te dosadne wyrażenia, gdyż pani, jako małżonka, nie może osądzić sprawy bezstronnie.

— Osądzam ją nader sprawiedliwie! Jeszcze przed południem zażądam, aby pociągnięto do odpowiedzialności tego człowieka, który śmiał zranić swego przełożonego.

— Mogę zaoszczędzić pani fatygi. Przychodzę z rozkazu jego ekscelencji ministra wojny.

— Ach! — zawołała przerażona. Ranny podniósł głowę.

— Ministra? — zapytał. — O co chodzi?

— Mam panu zakomunikować rozkaz, aby aż do odwołania zachował pan sprawę w tajemnicy. Nie wolno panu opuszczać pokoju, ani przyjmować wizyt.

— A więc jestem więźniem?

— To właśnie miał na myśli ekscelencja. Przez wzgląd na mego przyjaciela Ungera, minister zdecydował się przyjąć, że został pan przypadkowo ranny podczas polowania. Należy się więc spodziewać, że uchroni to pana od twierdzy. Żegnam pana, panie pułkowniku!

Stuknąwszy obcasami, wyszedł, nieciekaw wrażenia, jakie wywarły jego słowa.

Von Ravenow wysłuchał von Platena w milczeniu, z zaciśniętymi zębami.

Po odwiedzeniu obu sekundantów, arbitra i lekarza von Platen udał się do Ungera. Ponieważ Kurt spał jeszcze, przyjął go don Manuel. Hrabia kazał natychmiast obudzić swego ulubieńca. Kurt był zdumiony, dowiedziawszy się, że minister wojny wie już o pojedynku. Również von Platen łamał sobie nad tym głowę. Wówczas hrabia opowiedział im o porannej wizycie Różyczki. Chciał zaprowadzić von Platena do pań, ale podporucznik musiał wrócić do ministra. Pożegnał się i przyrzekł, że przyjdzie ponownie, gdy tylko będzie mógł.

Hrabia i Unger weszli do pokoju, w którym znajdowali się wszyscy domownicy.

Kurt ujął rękę Różyczki i rzekł wzruszony:

— A więc ty za mnie działałaś? Ale czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo ryzykowałaś?

— Musiałam działać, skoro ty wolałeś spać! Nie sądzę jednak, że bardzo ryzykowałam. Decyzje ministra świadczą o czymś wręcz przeciwnym.

Tymczasem von Platen zameldował się u ministra. Ten przyjął go życzliwie, stojąc

przy stole, na którym leżały zapieczętowane listy.

— Jest pan punktualny, panie podporuczniku. Panowie oficerowie z pańskiego regimentu schodzą się o tej porze w kasynie na śniadaniu. A pan?

— Zazwyczaj także tam jadam, ekscelencjo.

— No, dobrze. Polowanie, o którym mówiliśmy, było zaplanowane w kasynie i tam powinno się skończyć. Uda się pan do pułkownika von Marzfelda z piechoty i wręczy mu te listy. Niech je przejrzy, a następnie odczyta w kasynie w obecności pańskiego przyjaciela Ungera. Proszę go o tym zawiadomić. To wszystko. Pańskie postępowanie w tej sprawie jest godne pochwały.

Włożył listy do teczki i wręczył ją von Platenowi. Serce młodego oficera przepelniała radość. Nieczęsto zdarzało się usłyszeć takie słowa z ust ministra. Wsiadł do dorożki i pojechał najpierw do Ungera. Proszono go, aby został dłużej, lecz grzecznie odmówił. Musiał przecież wykonać rozkaz.

Kurt był bardzo ciekaw tego, co miało się rozegrać w kasynie. Poszedł tam natychmiast. Von Platena jeszcze nie zastał, ale sala była już pełna. Wszak balu u wielkiego księcia nie zdołano dotąd omówić we własnym gronie. Brakowało tylko von Winslowa i von Ravenowa. Odgadywano powód ich nieobecności, ale nie dopytywano się, choć major von Palm i obaj sekundanci mogli dokładnie poinformować, co się im przydarzyło.

Zjawienie się Kurta wprawiło oficerów w zakłopotanie. Zmówili się przeciwko niemu, prawda, lecz na balu przekonali się, jakie ten mieszczanin ma potężne plecy. Dłużej nie mogli go lekceważyć. Odpowiedzieli więc na jego ukłon w sposób wymijający — ani grzeczny, ani obraźliwy. Kurt kazał sobie podać szklanekę wina i zajął się gazetą.

Po pewnym czasie nadszedł von Platen i przysiadł się do niego.

— No i co? — zapytał Kurt.

— Pułkownik von Marzfeld był oczywiście zdumiony rozkazem. Domyślam się, o co chodzi.

— Nietrudno odgadnąć. Dostanie nasz regiment. Ponieważ jest z piechoty liniowej, spotyka go wyróżnienie, natomiast oficerów naszego pułku — kara jak najdotkliwsza.

— A jak myślisz? Co zawierały pozostałe listy?

— Cierpliwości! Zaraz się dowiemy.

Niedługo zjawił się von Marzfeld. Oficerowie byli zdumieni. Pułkownik z liniowej piechoty? W ich kasynie? Czego tu może chcieć? I dlaczego w galowym uniformie, z orderami na piersiach?

Wszyscy się podnieśli, aby go powitać. Podpułkownik i majorowie podeszli doń także.

Uściskał im ręce i rzekł:

— Dziękuję za przywitanie, moi panowie! Sprowadza mnie tu sprawa służbowa, a nie chęć zjedzenia z wami śniadania. — Wyjął z teczki listy ministra i dodał: — Jego ekscelencja pan minister wojny przysłał mi to przez pana von Platena, abym was, moi panowie, zawiadomił o kilku zarządzeniach, które uważano za stosowne poczynić.

Rozległy się szmery. Rozkaz ministra w kasynie? Nie w rozkazie pułkowym? Tego jeszcze nie było! I ma go odczytać pułkownik liniowy? Von Platen mu przyniósł? A co on ma do tego?

Spojrzenia obecnych przechodziły z von Platena na pułkownika. Von Platen udawał, że ich nie spostrzega. Pułkownik rozłożył pierwszy list. Były oznaczone kolejnymi numerami.

— Proszę o uwagę, panowie. Numer pierwszy.

Przeczytał krótki komunikat. Dotyczył on dymisji pułkownika regimentu von Winslowa. Oficerowie byli oszołomieni.

— Numer drugi, moi panowie!

Szmery ucichły. Treść pisma była nie mniej zaskakująca od poprzedniej. Podporucznik von Ravenow otrzymał dymisję i to bez zachowania pensji, podobnie jak pułkownik. Nie wspomniano też o wizytach pożegnalnych.

— Numer trzeci.

Słuchano z coraz większym napięciem. Porucznik von Branden został pozbawiony adiutantury i wraz z podporucznikiem von Golzenem przeniesiony do obozu.

Obaj oficerowie byli w kasynie. Na twarzach ich malował się przestach. Z gwardii do obozu — to dopiero kara! Koledzy chcieli im wyrazić współczucie, ale nie śmieli. Spojrzenia wszystkich skierowały się ku Ungerowi. Zrozumiano, że zmiany te są zadośćuczynieniem dla niego.

— Numer czwarty.

A więc na tym nie koniec? Co jeszcze mogło się zdarzyć? Otóż podpułkownik, major i rotmistrz ze szwadronu Kurta zostali przeniesieni do linii na ich własną prośbę, jak dodano. W ten sposób osłodzono im gorzką pigułkę.

Numer piąty zawierał nominację pułkownika von Marzfelda na dowódcę regimentu huzarów gwardii. Z tego samego pisma dowiedziano się, że von Platen został mianowany porucznikiem i adiutantem pułkownika, a Unger awansowany na porucznika huzarów gwardii i odkomenderowany do sztabu generalnego.

Tego wyróżnienia można było pozazdrościć najlepszemu przyjacielowi, a cóż dopiero człowiekowi, z którym postępowano tak niegodnie! Zawiść przepełniła więc serca wielu

oficerów. Pułkownik natomiast podszedł do Kurta, uściskał mu dłoń i powiedział:

— Panie poruczniku, cieszy mnie, że ode mnie dowiedział się pan o nominacji. Bardzo żałuję, że nie znajdę pana w szeregach mego regimentu, chociaż jestem przeświadczony, że w sztabie, gdzie potrafią się na pana poznać, szybciej się wyróżnisz niż w pułku. Muszę jeszcze panu napomknąć, że jego ekscelencja punktualnie o czwartej gotów będzie osobiście przyjąć pańskie podziękowanie.

Oficerowie mieli nowy powód, by zazdrościć Kurtowi. Tylko von Platen objął go serdecznie i szepnął:

— Któżby pomyślał, że dzięki tobie dostanę awans! Patrz, Kurcie, jak ci dumni panowie z gwardii winszują staremu Marzfeldowi! Życzą mu z całej duszy, aby poszedł do licha, ale sami tam idą... do piechoty. Chodź, wyjdziemy! Otrzymałeś wspaniałą satysfakcję! Nic tu już po nas! Pożegnaj tylko mego dowódcę i poproszę o urlop. Muszę wyjechać do Moguncji.

— Do Moguncji? A więc niedaleko moich rodzinnych stron.

— Tak. Wuj Wallner przysłał mi list. Chce się ze mną porozumieć w sprawie pewnego spadku. Mam nadzieję, że dostanę urlop, bo stary Marzfeld będzie sam potrzebował trochę czasu, aby się zdomowić w naszym regimencie.

— Czy to ten wujek, który jest bankierem?

— Tak. Mówiłem ci, że jest tak samo spokrewniony ze mną, jak z naszym dotychczasowym majorem.

Von Platen podszedł do pułkownika. Jak przypuszczał, urlop otrzymał bez przeszkód. Obaj przyjaciele opuścili kasyno, pożegnawszy z uszanowaniem von Marzfelda. Na zaproszenie Kurta von Platen przyrzekł odwiedzić go wieczorem.

W domu nominacja Kurta wywołała istną burzę zachwyków. O oznaczonej godzinie Kurt pojechał do ministra i został przyjęty szczególnie serdecznie. Kiedy młody człowiek podziękował za awans, minister rzekł:

— Był mi pan gorąco polecony. Otrzymałem odpis pańskich prac, które wykonał pan dla swoich dotychczasowych przełożonych. Cenię je wysoko. Dlatego postanowiłem przenieść pana do sztabu. Naturalnie pod warunkiem — w głosie jego pojawiła się żartobliwa nutka — że na przyszłość będzie się pan wystrzegał pewnych polowań, które mogą pozbawić pana zdolności do służby. No, ale dość o tym. Niech pana nie zdziwi, że na razie nie przedstawię pana szefowi sztabu generalnego. Nim bowiem pan tam trafi, powierzę panu pewną misję, również wojskową, ale zarazem dyplomatyczną. Do jej wykonania potrzebny jest człowiek odważny, z zimną krwią i przebiegły jak detektyw; taki jednocześnie, który

może robić wrażenie bardzo niedoświadczonego i nie zagrażającego nikomu. Myślę, że odpowiada pan tym warunkom. Czeka pana dłuższa podróż. Daję panu tydzień na przygotowanie, ale zanotuję sobie pana adres na wypadek, gdyby był pan wcześniej potrzebny.

Kurt był uszczęśliwiony. Nawet oficer wyższej rangi radowałby się z dowodów takiego zaufania. Odpowiedział więc:

— Ekscelencjo, młody wiek nie pozwala mi ufać sobie bez zastrzeżeń. Dołożę jednak starań, aby spełnić powierzone mi obowiązki.

— Pana skromność dobrze świadczy o panu. Jest pan wolny.

Proszę się pokłonić hrabiemu.

Kurt wyszedł od ministra w podniosłym nastroju. Postanowił pojechać do Reinswalden, aby zobaczyć się z matką i kapitanem i pożegnać się z nimi przed podróżą.

Wieczorem odwiedził go von Platen i bawił do północy. Ponieważ zamierzał nazajutrz wyjechać do Moguncji, postanowili odbyć tę drogę razem. Ludwik wsiadł do nocnego ekspresu, aby uprzedzić bliskich o przyjeździe Kurta.

TAJEMNICA SZWARCWALDZKIEGO ZEGARA

Dniało, kiedy obaj podporucznicy wsiedli do pociągu relacji Berlin–Moguncja. Po pewnym czasie von Platen zdjął rękawiczkę, aby poczęstować Kurta cygarem. Promień wschodzącego słońca padł na jego pierścień.

— Co to za klejnot? — zainteresował się Kurt. — Zapewne stara pamiątka rodzinna?

— Stara — potwierdził von Platen — ale niezupełnie rodzinna. To podarunek od mego wujka.

— Tego bankiera?

— Tak, wyświadczyłem mu kiedyś przysługę, za którą chciał mnie wynagrodzić. Ale że jest sknerą, pieniądze, najmilszy dla oficera podarunek, niechętnie wypuszcza z rąk. Ofiarował mi więc pierścień, który jest wprawdzie bardzo wartościowy, ale bądź co bądź jego nic nie kosztował. Czy chcesz obejrzeć?

— Proszę.

Von Platen ściągnął pierścień z palca i wręczył Kurtowi, a ten przyjrzał mu się dokładnie.

— To nie jest współczesna robota — orzekł w końcu.

— Ani w ogóle niemiecka. Nie bardzo wiem jaka.

— Myślę, że meksykańska.

— Pewnie masz rację. Ale skąd to cacko mogło trafić do mojego wujka? Jego rodzina nigdy nie miała kontaktu z Meksykiem ani z Hiszpanią.

— Każdy bankier może łatwo wejść w posiadanie takiego przedmiotu — mówił Kurt, zwracając koledze pierścień. — Jestem naprawdę ciekaw, czy to rodzinna pamiątka czy jakiś zastaw lub coś w tym rodzaju. Muszę ci wyznać, że mam szczególne upodobanie do starych klejnotów. To taki mój konik. — Wujka chyba też — roześmiał się von Platen. — Widziałem u niego sporo równie starych i pięknych rzeczy. Nie pokazuje ich nikomu i strzeże jak oka w głowie. Trzyma je nie w kantorze, ale w prywatnym gabinecie w domku ogrodowym, gdzie często nawet sypia. Pewnego razu zaskoczyłem go, wchodząc tam zniemacka. Na stole leżały łańcuchy, kolie, bransolety i pierścienie przedziwnej roboty. Wujek zląkł się bardzo, gdy odkryłem tę jego tajemnicę.

— Tajemnicę?

— No chyba to właściwe słowo. Klejnoty są ukryte w schowku na ścianie, zamykanym na żelazne drzwiczki, a na nich wisi stary zegar ze Szwarzwaldu. Kiedy

wszedłem do gabinetu, zegar leżał na podłodze i wtedy zobaczyłem ową skrytkę. Stała w niej spora szkatułka po brzegi wypełniona klejnotami.

— Jak dawno to było?

— Prawie trzy lata temu.

— A więc teraz skrytką jest pusta! Wuj przeniósł zapewne swój skarb gdzie indziej — lekkim tonem powiedział Kurt, choć już od pewnego czasu nurtowała go myśl, że te klejnoty mogą mieć związek z meksykańskimi skarbami, którymi go obdarowano, a które w tajemniczy sposób zniknęły.

— O nie! Widocznie nie ma drugiej skrytki, ponieważ musiałem mu uroczyście obiecać, że nikomu nie wyjawię sekretu. Nie sędzę, abym złamał przysięgę, opowiadając ci o tym, bo potrafisz dochować tajemnicy tak samo jak ja.

— A gdybym chciał zostać włamywaczem?

— Nie wierzę.

— Przynajmniej, aby obejrzeć te klejnoty.

— Po co? Do czego ci się to może przydać?

— Zależy od okoliczności... Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jaką wagę ma dla mnie ta wiadomość.

— Zdumiewasz mnie! Co cię obchodzi jakiś bankier i jego klejnoty?

— Posłuchaj! Mój ojciec wyjechał swego czasu do Meksyku i spotkał tam brata. Ten zaś w pewnych okolicznościach, o których ci później opowiem, dostał skarb składający się ze starych, cennych meksykańskich klejnotów. Połowę tego skarbu stryj przeznaczył dla mnie. Miano mi przesłać te rzeczy, aby moja matka mogła część ich spieniężyć i pokryć moją naukę, a resztę zachować jako kapitał.

— Do licha... Szczęśliwiec z ciebie!

— Obaj bracia przebywali u pewnego hacjendera, którego córka była narzeczoną mego stryja. Ruszyli na wyprawę wojenną i wszelki śluch po nich zaginął. Po wielu latach stary hacjendero wziął moją część skarbu i zawiózł do stolicy, gdzie przekazał ją Benito Juarezowi.

— Prezydentowi?

— Tak. Wówczas był on jeszcze najwyższym sędzią. Juarez przyrzekł przesłać te rzeczy do Niemiec.

— Skąd wiesz o tym?

— Poznałeś u mnie miss Dryden. Jej ojciec był wtedy posłem angielskim w Meksyku i znał dobrze owego hacjendera. Juarez kazał hacjenderowi załączyć do paczki list. Ponieważ

starzec z trudem pisał, wyręczyła go miss Dryden.

— I list został wysłany?

— Tak, wraz z klejnotami. Juarez ubezpieczył nawet przesyłkę. Ale nie dotarła do celu.

— Do pioruna! Dlaczego nie przeprowadzono śledztwa?

— Ponieważ nic o całej sprawie nie wiedzieliśmy. Juarez sądził, że wszystko w porządku. Sir Dryden wraz z córką zaraz potem został schwytyany przez herszta pewnej szajki bandytów i wywieziony w góry. Zaledwie przed ośmioma miesiącami udało mu się odzyskać wolność, a ja dopiero teraz dowiedziałem się o wszystkim od jego córki.

— To tajemnicza sprawa!

— Może nie tak bardzo... Hacjendero znał moje imię i nazwisko, ale nie pamiętał adresu. Wiedział tylko, że przebywam niedaleko Moguncji w pewnym zamku, należącym do kapitana von Rodensteina. Dlatego Juarez przesłał klejnoty jednemu z bankierów mogunckich, polecając odszukać adresata i wręczyć mu przesyłkę.

Von Platen aż podskoczył na siedzeniu.

— Do diabła! Coś mi świta...

— No właśnie... Twój wujek jest bankierem w Moguncji. Tynosisz pierścień meksykański podarowany przez niego. Jak powiadasz, widziałeś u niego sporo podobnych klejnotów. A więc...

Von Platen oparł głowę o poduszki. Zbladł, na skronie wystąpiły mu żyły. Wreszcie rzekł:

— Kurcie, to straszne! Musimy jednak spokojnie, bez emocji zastanowić się nad tym. Gdyby ktokolwiek inny powiedział mi to co ty, spoliczkowałbym go z miejsca. Ale jesteś przecież moim przyjacielem. I nie zataiłeś przede mną swoich podejrzeń, choć mogłeś to uczynić. Szczerść za szczerść... Stwierdzenie, że mój wujek cię obrabował, wydaje mi się zuchwałe, ale niestety całkiem prawdopodobne. Wuj ma klejnoty i... i...

— Mówże!

— Trudno mi to przychodzi, na honor! Ale tobie mogę powiedzieć, że nie uważam wujka za bankiera, który potrafi oprzeć się pokusom. Zauważyłem, że robi czasem interesy, jakich kto inny nie uważałby, być może, za zupełnie czyste.

— A może posiadał klejnoty z drugiej albo trzeciej ręki? Może się mylę. Może nie pochodzą z Meksyku...

— Musimy się przekonać.

— My? A pomożesz mi?

— Naturalnie. Chcę wiedzieć na pewno, czy mój wuj jest szubrawcem czy uczciwym człowiekiem.

— Dziękuję! Rozumiesz chyba, że nie chcę nikogo obrażać. I dlatego muszę obejrzeć te przedmioty!

— Załadamy od wuja, aby nam pokazał wszystko, co ma w schowku. To prosty, rzetelny sposób.

— Ale niemądry. Jeśli jest niewinny, urazimy go śmiertelnie, jeśli winny, nic nie wskóramy.

— Więc co robić?

— Bez jego wiedzy zakradniemy się do ogrodowego pawilonu i obejrzymy skrytkę.

— Do pioruna! A więc naprawdę włamanie?

— Włamanie, ale nie kradzież. W każdym razie rzeczy pozostaną w skrytce.

— Hm! Zobaczę, co da się zrobić. Najpierw przedstawię cię wujowi.

— Nie. Jeśli istotnie dostał przesyłkę od Juareza, to zna nazwisko adresata i na pewno informował się o mnie. Gdy przyjdę do niego, odgadnie, być może, moje zamiary.

— Znów masz rację. Co proponujesz?

— Reinswalden leży w pobliżu Moguncji. Łatwo ci będzie zawiadomić mnie, kiedy będziemy mogli niepostrzeżenie dostać się do pawilonu.

A więc mam nie mówić wujowi, że cię znam?

— Rozumie się. Nie powinien nawet wiedzieć, że pojedziesz do Reinswalden.

— Dobrze. Zrobię tak, jak mi radzisz. Ale jak ty postąpisz, jeśli okaże się, że mój wujek naprawdę... — urwał. Słowa ciężkiego oskarżenia nie chciały mu przejść przez gardło.

— Nie martw się na zapas, przyjacielu! Może wszystko skończy się dobrze. A mnie na tym skarbie naprawdę zależy. Miałem moźnych protektorów, którzy więcej mi dobra przysporzyli, niż sam mógłbym osiągnąć przy największym majątku. Nie jestem więc spragniony bogactw i użycia ale, rzecz zrozumiała, nie zrezygnuję z należnego mi spadku, jeśli przekonam się, że znajduje się w niewłaściwych rękach.

Pociąg przybył do Moguncji. Przyjaciele pożegnali się na dworcu. Von Platen wsiadł do bryczki i pojechał do wuja. Kurt odszukał Ludwika, który go oczekiwał, siedząc na koniu i trzymając za uzdę kasztana nadleśniczego. Natychmiast ruszyli do Rienswalden.

Kiedy dotarli do zamku, Kurt przywitał się przede wszystkim z matką, a potem pobiegł do kapitana.

Spotkał go na schodach.

— Witam, panie poruczniku! — zawołał stary wojak, obejmując go, cmokając i na

przemian odsuwając od siebie, aby mu się uważniej przyjrzeć. — Do stu piorunów! W parę dni zrobiłeś karierę! Porucznik i kogut w kojcu, to jest w sztabie generalnym! Chłopcze, niech cię jeszcze raz ucałuję!

— A więc Ludwik mimo zakazu wygadał się panu!

— Naturalnie! Niech diabeł milczy, kiedy słowo spod serca się wydziera. Kazałbym Ludwika zbić na kwaśne jabłko, gdyby mi nic o tych radosnych nowinach nie powiedział! No, wejdźże! Dziś będziesz uroczyście przyjmowany na zamku w Reinswalden.

— Przepraszam, panie kapitanie, ale moja matka...

— Przyjdzie tutaj, należy wszak do kompanii. Będę miał zaszczyt gościć u siebie swego chrześniaka, pana porucznika huzarów gwardii, Kurta Ungera! Dziś jest dzień radosny. Uczcijmy go zatem!

I rzeczywiście godnie uczczono ten dzień na zamku Reinswalden.

Nazajutrz po obiedzie przyjechał konno von Platen. Kurt zaprowadził go do kapitana, który przyjął przyjaciela swego pupila z właściwą sobie rubaszną uprzejmością. Zasiadli do pełnych kuflów. Dopiero kiedy nadleśniczego odwołano w jakiejś sprawie, obaj oficerowie mogli pogadać.

— Łatwiej nam pójdzie, niż przypuszczałem — rzekł von Platen. — Dziś rano wujek wyjechał w interesach do Kolonii; wróci dopiero po północy. A więc mamy do dyspozycji cały wieczór.

— Jedźmy zaraz!

— Nikomu nie wyda się podejrzanym, że odwiedza mnie przyjaciel.

W stosownej chwili wymkniemy się do ogrodu.

— Nie. Nie chcę pokazywać się u ciebie w domu. Kiedy przyjedziemy do Moguncji, wskażesz mi drogę do ogrodu i wyznaczymy sobie godzinę spotkania.

— Dobrze, to może przezorniej. Ale w jaki sposób wejdziemy do pawilonu? Zawsze jest zamknięty, drzwi zabezpiecza mocna sztaba żelazna, potężna kłódka, a w dodatku są zamknięte na klucz. W pawilonie mieszczą się trzy pokoje, też zamknięte. Skąd wziąć klucze? Nie wiem, gdzie wujek je chowa.

— To nie problem. Mieszka tu we wsi znakomity ślusarz, który ma wytrychy wszelkiego rodzaju. Na pewno mi je wypożyczy, bo wie przecież, że nie użyję ich w celach występnych.

— Doskonale! Ale czy umiesz się z nimi obchodzić?

— Hm! Może i dam radę, ale nie mam wprawy i stracę wiele cennego czasu. Gdyby można było zabrać ze sobą tego człowieka...

— Czy jest pewny i dyskretny?

— Ręczę za niego. To mój kolega szkolny.

— Zabierzemy go więc ze sobą.

— Pójdę po niego, ty zaś poczekaj na kapitana i go zabawiaj do mojego powrotu. Nie powinien o niczym wiedzieć.

Ślusarz zgodził się na propozycję Kurta. Umówił się z nim w pewnej gospodzie w Moguncji. Nadleśniczemu wydało się rzeczą normalną, że Kurt odprowadza gościa. Obaj oficerowie wyjechali więc razem. Dotarli do Moguncji, kiedy wieczór zaczął zapadać.

Minęli kilka ulic i znaleźli się w zaułku.

— To tu — powiedział von Platen, zatrzymując się przed zamkniętą furtką w murze ogrodu. — Musicie przejść przez mur, jeśli nie chcecie męczyć się otwieraniem furtki.

Rozstali się. Von Platen pojechał do siebie, a Kurt do gospody, gdzie oczekiwał go ślusarz. Wyszli z gospody, kiedy na dworze było już zupełnie ciemno. Nie spotkawszy nikogo, podeszli do ogrodowego muru i łatwo przedostali się na drugą stronę. Ledwo zrobili kilka kroków, usłyszeli szept von Platena.

— Chodźcie — mówił. — Jesteśmy bezpieczni. Nikt z domowników nie zamierza wejść do ogrodu, a mnie nie będą szukać, bo powiedziałem, że idę do miasta.

Zaprowadził ich krętymi drózkami do pawilonu, otoczonego wysokimi drzewami o gęstych koronach.

Kurt obejrzał budynek, o ile mu na to pozwalały ciemności. Był solidnie zbudowany i zaopatrzony w grube okiennice. Drzwi miał dębowe, a sztabę przeszło na cał grubą. Ślusarz dokładnie przyglądał się jej zamkowi, coś w nim majstrował i wreszcie oznajmił:

— Pójdzie prędko. Zdaje się, że mam odpowiedni klucz.

Z torby skórzanej, którą nosił na ramieniu, wyjął jakiś wytrych. Rozległ się cichy dźwięk, potem szcęk przekręcanego klucza w zamku.

— No, sztaba ustąpiła — ucieszył się ślusarz. — Teraz drzwi.

Z nimi uporał się szybko; może trwało to dwie minuty, a może i mniej. Weszli do środka, starannie zamknawszy drzwi za sobą. Von Platen wyciągnął świecę i zapalił. Znaleźli się w małym pomieszczeniu wypełnionym ogrodowymi meblami. Z otwarciem drzwi do drugiego pokoju — jadalni — ślusarz nie miał żadnych kłopotów. I z trzecimi poradził sobie znakomicie; prowadziły do gabinetu. Stało tam biurko, stół, lampa, kilka krzeseł, kanapa, piec, umywalnia i lustro.

— Tam jest skrytka — von Platen wskazał na zegar szwarcwaldzki.

Razem z Kurtem zdjął go ze ściany. Ukazały się małe żelazne drzwiczki.

— O, do diabła! Aż dwa zamki — zaniepokoił się ślusarz. — Zobaczą, co się da zrobić.

Dłuższą chwilę pracował w milczeniu. Coś zgrzytnęło, zachrobotło...

— Udało się — odsapnął. — Patrzcie, panowie!

Za drzwiczkami była głęboka skrytka, a w niej spora szkatułka. Wyjmując ją Kurt spostrzegł, że leżą za nią jakieś papiery.

— O, jaka ciężka! — zawołał. — I jaki dziwny ma zamek. Ślusarz dobierał kilka kluczy, zanim znalazł odpowiedni. Gdy wreszcie podniósł pokrywę, cofnął się o krok i krzyknął:

— Boże wielki! Takich wspaniałości, takich skarbów nigdy w życiu nie widział!

Na Kurcie i von Platenie zawartość kasety zrobiła również piorunujące wrażenie. W blasku świecy brylanty i inne drogie kamienie jarzyły się wspaniałym ogniem barw. Kurt wyciągał poszczególne klejnoty i kładł na stole. Dziwnie się czuł. Nie mógł opanować dreszczy, które co chwila wstrząsały całym jego ciałem. To właśnie o takiej reakcji na widok królewskiego skarbu mówił Bawole Czoło, zanim przestąpił z Piorunowym Grotem próg skarbcza ukrytego w jaskini.

— To ma wartość wielu milionów — zawołał Kurt. — Gdybyż to wszystko do mnie należało!

— Takiego bogactwa doprawdy się nie spodziewałem — wyznał von Platen. — Nawet uczciwy człowiek mógł się połakomić na nie i zostać złodziejem. Czy to meksykańska robota?

— No pewnie! Spójrz tylko!

Przypatrzyl się dokładnie kilku klejnotom. Von Platen westchnął ciężko.

— Masz rację, drogi Ungerze. Twoje podejrzania potwierdziły się. Takiego skarbu mój wujek nie mógł osiąść uczciwą drogą.

— Nie możemy go jeszcze potępiać. Kto wie, w jaki sposób zdobył te skarby? Ale co to?

Szperając w szkatułce, natrafił na jakieś papiery. Były to dwa listy. Otworzył jeden i spojrzał na podpis.

— Benito Juarez! Najwyższy sędzia!

— A więc nie mam już złudzeń — von Platen zwiesił głowę.

— Proszę cię, odczytaj ten list!

— Rozumiesz po hiszpańsku?

— Nie.

— Przetłumaczę ci.

Wziął świecę do ręki i czytał, każde zdanie przekładając na niemiecki:

*Pan bankier Wallner,
„Voigt und Wallner”
w Moguncji*

Przesyłam panu załączoną szkatułkę, zawierającą klejnoty, wraz z dokładnym spisem zawartości. Właścicielem jest chłopiec nazwiskiem Unger, syn marynarza. Mieszka w pobliżu Moguncji, na zamku niejakiego kapitana von Rodensteina. Ojciec i stryj jego, niestety, zginęli w Meksyku. Chłopiec jest tedy spadkobiercą klejnotów. Zechce pan łaskawie wręczyć mu je wraz z załączonym listem, o ile go pan odnajdzie. Jeśli nie, proszę mnie natychmiast zawiadomić i szkatułkę przekazać pańskim władzom państwowym do przechowania.

Drugi list jest adresowany do pani Sternau, z domu hrabianki de Rodriganda, która również mieszka na tym zamku. Wydatki, jakie pan poniesie, zostaną zwrócone przez odbiorcę. Zwracam uwagę pana, że posiadam kopię spisu rzeczy i że ubezpieczyłem ich wartość.

*Benito Juarez
Sędzia Najwyższy
Meksyk*

Von Platen był blady jak trup.

— Teraz nie ma już żadnych wątpliwości, że mój wuj jest złodziejem — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Po tych wskazówkach miał cię przecież znaleźć. A gdyby nie odnalazł, to szkatułki nie powinno tu być, miał ją oddać władzom. Przeczytaj drugi list!

Kurt otworzył i przejrzał.

— Jest pisany przez miss Amy Dryden i adresowany do pani Sternau. To list prywatny. Nie może cię zainteresować.

— I tak wiem już dosyć! Te rzeczy są twoją własnością. Co teraz zrobisz?

— Położę je na miejsce i namyślę się do jutra. W każdym razie postaram się oszczędzić pana Wallnera i tak całą sprawą pokierować, aby nie domyślił się twego w nim udziału. Tylko muszę jeszcze znaleźć spis rzeczy. W skrytce leżą jakieś papiery. Pozwolisz mi przejrzeć?

— Po co mnie pytasz? Przecież to oczywiste! Ale ja nie chcę nic więcej czytać ani nic więcej wiedzieć!

Rzucił się na kanapę i odwrócił do ściany. Kurt wyciągnął ze schowka papiery. Były związane w paczuszkę. Rozsupłał sznurek i rozwinął pierwszy arkusz. Ledwie spojrzał, zmienił się na twarzy. Szybko zaczął czytać. Kiedy skończył ostatni — w sumie było dwanaście pojedynczych arkuszy — związał wszystkie sznurkiem i powiedział obojętnym tonem:

— Te dokumenty nie dotyczą skarbu.

Raz jeszcze zajrzał do skrytki. W głębi dojrzał pogniecioną kartkę.

— No, mam wreszcie ten spis — ucieszył się. Porównał z nim leżące na stole klejnoty.
— Jest wszystko, brak jedynie pierścienia, który ty nosisz.

— Nie chcę go mieć — zachnął się porucznik — pali mi rękę. Masz go!

— Ależ proszę cię... Zatrzymaj ten pierścień. I potraktuj jako podarunek ode mnie.

— Dziękuję ci, Kurcie. Nie mogę jednak, naprawdę nie mogę...

Kurt nie ustępował:

— Jeśli nie chcesz go przyjąć, zwrócisz mi później. Ale w najbliższych dniach musisz go nosić na palcu. Twój wuj mógłby się zainteresować jego brakiem. A do tego nie wolno nam dopuścić.

— Zgoda — von Platen z powrotem włożył pierścień — ale proszę cię, niech to nie trwa długo.

Jak postanowił Kurt, wszystkie klejnoty schowano do skrytki. Ślusarz zamknął drzwiczki i zawiesił zegar. Kiedy opuścili pawilon, von Platen powiedział:

— Zrobiło się późno. Muszę wracać do domu. Czy znajdziesz drogę beze mnie?

— Nie martw się! To przecież dwa kroki.

Uścisnęli sobie ręce. W ciągu kilku minut Kurt wraz ze ślusarzem znaleźli się koło muru. Tu nadstawili ucha, chcąc się zorientować, czy droga wolna. I wtedy usłyszeli zbliżające się kroki, a potem ktoś usiłował po cichu otworzyć furtkę. Klucz zgrzytnął w zamku. Byli tak blisko, że mimo ciemności dojrzelili zarysy dwóch postaci.

— Chyba nikogo nie ma w ogrodzie? — rozległ się głos, który wydał się Kurtowi znajomy.

— Ani żywej duszy.

— Nikt nas nie podsłucha?

— Co znowu! Spodziewają się, że wrócę z Kolonii dopiero o północy. Nikt nie będzie mnie szukał w pawilonie. Chodźmy! A więc to bankier — pomyślał Kurt. Ale kim jest ten

drugi?

— Wracaj do gospody, ja jeszcze tu chwilę zostanę — szepnął do ślusarza i cicho jak duch podkraść się do pawilonu.

Okiennice były tak szczelne, że nie przepuszczały najśłabszego nawet blasku światła i prawie żadnego dźwięku. Kurt przypuszczał, że obaj mężczyźni poszli do gabinetu. Przyłożył więc ucho do okiennicy, ale usłyszał jedynie pomruk rozmowy; ani jedno słowo do niego nie dotarło. Mniej więcej po godzinie rozległ się szmer przesuwanych — jak mniemał — krzesel.

— Chyba wychodzą — powiedział do siebie i pędem wrócił do furtki w murze. Rósł tu krzak bzu. Wcisnął się między gałęzie i przyłgnął do ziemi. Po chwili nadeszli śledzeni mężczyźni. Zatrzymali się tak blisko, że mógłby ich dotknąć ręką.

— Czy te papiery są naprawdę bezpieczne u pana? — zapytał nieznajomy.

— Całkowicie — odpowiedział bankier. — W pawilonie jest skrytka, której nikt nigdy nie znajdzie; tam je przechowam, dopóki upelnomocniony wysłaniec nie zgłosi się po nie.

— Powiedz mu pan, by spieszył do Berlina! Wiem z dobrego źródła, że przybył tam dziś agent rosyjski; udaje kupca futer o nazwisku, oczywiście fałszywym, Helbitow. Nie wiem, w jakiej gospodzie się zatrzymał, ale wystarczy przejrzeć listę cudzoziemców. Papiery nosi pod podszewką kapelusza. Nie mogłem dłużej zostać w stolicy; wczoraj przekonałem się, że mnie śledzą. Niech pan w razie potrzeby pisze do mnie pod adres hrabiego Rodrigandy w Hiszpanii; zabawię tam dłuższy czas.

— Ale czy Austria dotrzyma słowa?

— Jeśli nastąpi odwet za Sadowe, powstanie nowe Królestwo Westfalskie, a pan będzie jego ministrem finansów. Być może, owe tajne dokumenty, które przywiózł Helbitow, zawierają zgodę Rosji. Polecono mi zbadać nastroje państw środkowych Niemiec. Ale ponieważ policja jest na moim tropie, muszę jak najprędzej uciekać za granicę. Teraz wie pan wszystko. Dobranoc.

— Dobranoc!

Bankier otworzył furtkę i wypuścił gościa. Kurt już wiedział: to był korsarz Landola, rzekomy kapitan Shaw! Zaczął gorączkowo myśleć: Czy mam się rzucić na niego? Co mi z tego przyjdzie, nawet gdy schwytam łajdaka?! Najważniejsze są tajne dokumenty! A przecież bankier, gdy my będziemy się bić, na pewno zdoła je zniszczyć albo ukryć gdzie indziej. Na razie więc muszę poniechać Landoli. Wallner tymczasem zamknął furtkę i wrócił do pawilonu. Przebywał tam dłuższy czas. Zbliżała się północ, gdy wyszedł z domku i skierował się w stronę wyjścia z ogrodu. Kurt przeskoczył przez mur i poszedł za nim. Bankier minął kilka ulic i zatrzymał się przed trzeciorzędnym zajazdem. Chwilę stał przed nim, przyglądając

się oknom.

Czyżby tu mieszkał Landola? — zastanowił się Kurt. Nie widział już potrzeby dalszego śledzenia bankiera. Kiedy więc ten się oddalił, wszedł do zajazdu. Mimo późnej godziny przy stołach siedziało jeszcze wielu amatorów piwa. Kazał sobie podać szklankę i wdał się w rozmowę z gospodarzem:

— Czy ma pan dużo gości?

— Nie. Tylko dwie panie.

— I jednego pana? — tu opisał wygląd Landoli.

— Tak, to on. Kwadrans temu był jeszcze, ale nagle zdecydował się wyjechać.

— Kolejną?

— Nie. Koźmi. Poleciłem mu woźnicę Feller.

— A dokąd, jeśli to nie tajemnica?

— Do Kreuznach.

Kurt zapłacił, wypił piwo i szybkim krokiem udał się na policję.

— Jestem porucznik Unger z Reinswalden — przedstawił się. — Czy wiadomo panom, że władze Berlina poszukują pewnego jegomościa o nazwisku Shaw, rzekomego kapitana amerykańskiej armii?

— Tak. Wczoraj otrzymaliśmy list gończy.

— Ten człowiek był dzisiaj w Moguncji.

— Nie może być!

Kurt wymienił nazwę zajazdu, opowiedział, co usłyszał od gospodarza i zalecił natychmiastowy pościg. Komendant zapewnił porucznika, że uczyni wszystko, co w jego mocy; nim Kurt opuścił budynek, odpowiednie rozkazy zostały wydane. Teraz Kurt pobiegł do urzędu pocztowego. Telegrafista nie posiadał się ze zdumienia, gdy przekazywał słowa depeszy:

Wielmożny Pan von Bismarck, Berlin.

Natychmiast aresztować rosyjskiego kupca futer Helbitowa w jednym z hoteli. Papiery w podszewce kapelusza.

Kurt Unger

Dopiero w gospodzie, gdzie czekał na niego ślusarz, Kurt poczuł się ogromnie zmęczony. Suto wynagrodził pomocnika i zobowiązał go do milczenia, po czym wskoczył na

koń, by jak najszybciej wrócić do domu.

Nazajutrz przed południem porucznik von Platen siedział w kantorze wuja. Omawiali sprawę spadkową, dla której bankier sprowadził tu kuzyna, gdy wszedł służący i zameldował:

— Panie bankierze, jakiś oficer pragnie z panem mówić. Oto jego wizytówka.

— Znowu wyciągaj pieniądze, znowu pożyczaj — skrzywił się Wallner. — Ci panowie zawsze potrzebują więcej, niż mają. Jak nic, to znów jeden z tych arystokratów, którzy...

Rzucił okiem na wizytówkę i zmienił się na twarzy. Widać było, że bardzo chce się opanować, ale mimo to jego głos nie zabrzmiał zbyt pewnie:

— Tym razem nie arystokrata. Mieszczanin. Kurt Unger, porucznik. Czy nie znasz przypadkiem tego oficera? — zwrócił się do von Platena.

— Znam, i to bardzo dobrze. Jest moim najbliższym przyjacielem.

— Tak?... A skąd pochodzi?

— Z Reinswalden.

Von Platen spojrzał badawczo na wuja i wydało mu się, że dostrzegł strach w jego oczach. Ale ton, w jakim bankier wypowiedział kolejne słowa, był już całkowicie spokojny:

— Czego on może chcieć ode mnie? Wstajesz? Zostań, proszę. Będzie ci miło przywitać kolegę i przyjaciela. Prosić!

Służący oddalił się, a po chwili zaanonsował porucznika Ungera. Kurt był w uniformie i jak zwykle prezentował się w nim znakomicie. Ukłonił się i zapytał:

— Pan bankier Wallner?

— To ja, panie poruczniku. Co pana do mnie sprowadza? Kurt miał poważną minę. Zasepił się jeszcze bardziej, gdy spostrzegł przyjaciela.

— I ty tutaj, drogi von Platenie? Dzień dobry.

— Dzień dobry. Przypuszczam, że chcesz na osobności porozmawiać z wujkiem, więc nie będę przeszkadzać. Ale odwiedź mnie potem w moim pokoju.

— Chętnie, o ile mi pan Wallner pozwoli.

— Nie potrzebuje pan mego pozwolenia — i zwracając się do von Platena, dodał: — Zresztą nie pojmuję dlaczego odchodzisz. Pan porucznik chce zapewne prosić mnie o pożyczkę, a tej mu nie odmówię, gdyż jest twoim przyjacielem.

Von Platen zaczerwienił się z gniewu i powiedział ostro. — Unger nie potrzebuje pożyczki. Wydaje mi się jednak, że powinienem się oddalić, a to przez wzgląd na ciebie.

— Co ty wygadujesz?! Teraz już żądam, abyś został. Nie obawiam się twojej

obecności. Von Platen spojrział pytająco na Ungera, ten zaś wzruszył ramionami.

— Wszystko mi jedno, czy zostaniesz czy nie. Przychodzę z drobną prośbą, aczkolwiek nie z prośbą o pożyczkę.

— Proszę, niech pan mówi! — zachęcał bankier, bo ostatnie słowa Kurta uspokoiły go. Drobną prośbą nie mogła wszak dotyczyć! milionowej wartości.

— Pozwoli pan, że przedtem usiądę — Kurt znów dał po nosie Wallnerowi, bo ten zapomniał o obowiązującej grzecznościowej formule. — Przychodzę zatem, by prosić pana o wydanie mi pewnych akt, panie Wallner.

Bankier potrząsnął głową.

— Pomylił się pan w adresie, panie poruczniku. Nie jestem kancelistą ani adwokatem, który...

— Wiem — przerwał chłodno. Kurt. — Czy miał pan wczoraj wieczorem gościa?

— Gościa? Nie, wręcz przeciwnie, sam byłem w podróży.

— W Kolonii niby? To kłamstwo. Wczoraj odwiedził pana niejaki kapitan Shaw.

Bankier zaczerwienił się.

— Panie — wykrztusił — o co panu chodzi?

— Ten Shaw przyniósł panu tajne dokumenty. O nie właśnie proszę.

Von Platen przysłuchiwał się z rosnącą uwagą. Jaką to grę Kurt prowadzi? Co ma do meksykańskich klejnotów jakiś Shaw i jego dokumenty?!

— Nie rozumiem! — wykrzyknął Wallner. — Nic nie wiem o kapitanie Shaw ani o dokumentach!

— Przypomni pan sobie, przypomni — uśmiechnął się Kurt. — Dopowiem jeszcze panu, że Shaw nie dotrze do Rodrigandy; na skutek mego doniesienia od dawna jest ścigany. Z kolei niejaki Helbitow znajduje się już pod kluczem.

— Powiedziałem, że nie rozumiem pana. Kurt wstał z krzesła.

— Jako przyjaciel pana von Platena przyszedłem tu, aby wyjść panu naprzeciw. Ponieważ jednak pan się nie przyznaje, będę zmuszony wezwać policję.

— Grozi mi pan?! Nic nie mam na sumieniu!

— Zostanie przeprowadzona rewizja.

— Nic tu nie znajdą!

— Nie bądź pan zbyt pewny siebie. Policjanci przeszukają nie tylko dom.

— A co jeszcze, panie poruczniku? — twarz Wallnera wykrzywił grymas tajonego strachu.

— Ogród.

— Proszę bardzo.

— I pawilon.

— Niech tam.

— Zdejmą ze ściany zegar szwarcwaldzki.

— Do wszystkich...

Przekleństwo ugrzęzło mu w gardle. Wyglądał tak, jakby dostał obuchem w głowę.

— Widzi pan, że jestem niemal wszechwiedzący. Znane nam obu dokumenty zamierzam przekazać kanclerzowi von Bismarckowi. Czy odda je pan dobrowolnie czy nie?

— Nie wiem nic o dokumentach.

— A więc przeszuka się skrytkę pod zegarem i znajdzie się tam nie tylko te dokumenty.

— Co jeszcze?

— Zbiór klejnotów, które pan nieprawnie przywłaszczył, a których prawowity właściciel stoi oto przed panem. Nie chce się pan przyznać?

Wallner zachwiał się na nogach, żeby nie upaść, musiał się chwycić krzesła.

— Jestem zgubiony! — jęknął.

— Jeszcze nie. Każdy błąd można wybaczyć, gdy winny przyzna się do niego i wyrazi skruchę. O ile zwróci mi pan moją własność, nie będę wracał do sprawy. A i w tej drugiej poszukam jakiegoś wyjścia przez wzgląd na mego przyjaciela. Pan von Platen nie mógłby służyć dalej w wojsku, gdyby się wydało, że jest krewnym człowieka winnego zdrady państwa.

— Zdrady państwa? — zdumiał się von Platen.

— Niestety, tak — odpowiedział Kurt. — Porozmawiaj z wujem. Zostawiam was samych.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju, usiadł na krześle i czekał. Słyszał ich głosy, to ciche, to głośniejsze. Upłynęło sporo czasu, zanim drzwi się otworzyły i von Platen poprosił go do kantoru. Wallner siedział skulony na krześle i oddychał jak w gorączce. Gdy Kurt wszedł, podniósł się i rzekł bezbarwnym głosem, jak gdyby powtarzał wyuczoną lekcję.

— Panie poruczniku! Już dawno temu otrzymałem przesyłkę! z Meksyku. Mimo starań nie mogłem znaleźć adresata. Okazuje się, że to pan. Oddam ją panu w całości.

— Dziękuję — odpowiedział Unger. Po krótkiej pauzie Wallner dodał:

— Niedawno pewien człowiek, który przedstawił się jako Shaw, złożył u mnie na przechowanie kilka dokumentów. Nie znam ich treści, wiem tylko tyle, że miał się z nimi zapoznać niejaki Helbitow. Ktoś, nie wiem kto, miał je odebrać ode mnie i dać jemu.

Zapewniam słowem honoru, że już nigdy nie będę zajmował się podobnym pośrednictwem.
Czy chce pan pójść ze mną do pawilonu?

— Chętnie, panie Wallner.

Wszyscy trzej opuścili pokój i udali się do pawilonu. Bankier prowadził. Otworzył drzwi i zaprowadził ich do trzeciego pokoju. Zdjął zegar ze ściany. Otworzył żelazne drzwiczki i rzekł:

— To tu, panie poruczniku — po czym wyszedł z gabinetu.

Kurt sięgnął ręką. Poza szkatułką i oglądanymi wczoraj dokumentami znalazł nową paczkę. Otworzył ją, aby przeczytać. Były to na pewno papiery przyniesione przez Shawa.

— Czy treść ich jest naprawdę ważna? — zapytał von Platen.

— Ponad wszelką wątpliwość! — i dodał szeptem, tak aby Wallner nie słyszał: — Wczoraj wieczorem, kiedyśmy się rozstawali, szczęśliwie zdołałem podsłuchać rozmowę twego wuja z Shawem. Bankier dał się wciągnąć do tej roboty, ponieważ przyrzeczone mu, że zostanie ministrem finansów Królestwa Westfalskiego, które ma utworzyć Austria.

— Nieszczęsny!

— Nie nieszczęsny, ale krótkowzroczny i łatwowierny. Jestem zmuszony zabrać te dokumenty, jednak uczynię wszystko, aby go uratować.

— Och, Kurcie! Jakże ci jestem wdzięczny za łaskę, jaką okazujesz mojemu krewnemu.

Wziął szkatułkę, a Kurt papiery. Obaj opuścili pawilon, nie pożegnawszy się z bankierem. W pokoju von Platena Kurt zaczął składać dokumenty w jedną paczkę. Naraz przybiegł służący, wołając już od progu:

— Panie von Platen, prędko, prędko, niech pan porucznik idzie do pana bankiera!

— Czego sobie pan bankier życzy ode mnie?

— Czego sobie życzy? Nic, zupełnie nic... Myślę tylko, że on jest... on jest...

— No, co takiego?

— Chory, bardzo chory...

— Sprowadźcie lekarza.

— Lekarz już nie poradzi...

Von Platen zerwał się na równe nogi.

— Mówże, co się stało! Gdzie jest wujek?

— W swoim pokoju. Miałem mu zameldować pewnego interesanta. Kiedy wszedłem, leżał na krześle i... był nieżywy!

— Przecież dopiero co rozmawialiśmy z nim. Schodzę natychmiast!

Po pewnym czasie von Platen wrócił. Bardzo błady przemierzał pokój wielkimi krokami i mówił:

— Masz rację, drogi Kurcie, wujek był krótkowzroczny. Kiedy jego plany się zawaliły, poczuł się całkowicie zgubiony. A może nie mógł przeboleć straty skarbu? Oby Bóg się zlitował nad jego duszą!

Po kwadransie Kurt był już w drodze powrotnej do domu. Wiózł ze sobą wszystkie klejnoty oraz tajne dokumenty.

Zatrzymał się u matki. Jakże się zdumiała, gdy otworzyła szkatułkę. Łzy trysnęły jej z oczu. Objęła syna i zawołała.

— To ma chyba ogromną wartość, ale wołałabym tysiącrotnie widzieć tu, zamiast tego skarbu, twego żywego ojca! Rób z klejnotami, co ci się żywnie podoba! Nie mogę na nie patrzeć!

Porosił ją o schowanie papierów, a szkatułkę zaniósł do kapitana. Opowiedział mu, co uznał za właściwe i pokazał zawartość.

— Do pioruna, teraz chłopak nosa mi będzie zadzierał! — mruknął Rodenstein. — Bogactwo wbija w pychę.

— Nie mnie, drogi ojczy chrzestny — zapewnił z uśmiechem Kurt.

— Takiś pewny? A co poczniesz z tymi rzeczami, hę?

— Podaruję wszystkie.

— Oszalałeś?!

— Nie oszalałem, ale mimo to podaruję te klejnoty Różyczce.

— Różyczce? Hm, to niezła myśl. Czemu jednak właśnie jej?

— Ponieważ ona jedna jest tak piękna i dobra, że może je nosić. Oczy mu zabłysły, co nie uszło uwagi starego, choć w sprawach

sercowych był ciemny jak tabaka w rogu. Uśmiechając się, pogroził palcem:

— Ty, zdaje się, jesteś zakochany, chłopcze! Tylko nie wyprawiaj głupstw! Jeśli już koniecznie chcesz się unieszczęśliwić, wyszukaj sobie innego frasunku. Leśna różyczka nie jest dla ciebie. Rośnie za wysoko.

— Mogę się po nią wspiąć...

— No tak — roześmiał się starzec — taki wspaniały porucznik może się wdrapać aż pod samo niebo! Wiem po sobie... kapitan i nadleśniczy, pożałuj się Boże! A zatem, rób z tym kramem, co chcesz, ale nie obiecuj sobie zbyt wielkich specjałów i pozostaw w spokoju różyczki. Miarkuj to sobie!

Najbliższym pociągiem Kurt wrócił do Berlina. Towarzyszył mu Ludwik. Przybyli

wieczorem. Mimo późnej pory Kurt natychmiast z dworca pospieszył do rezydencji von Bismarcka.

Okna były jeszcze oświetlone. Minister przyjmował gości. Odźwierny chciał Kurta zatrzymać, ale porucznik wyminął go szybko i wszedł na schody. Lokaje to biegali w górę, to zbiegali na dół. W przedpokoju zatrzymał Kurta kamerdyner.

— Życzy pan sobie...? — zapytał.

— Pomówić z jego ekscelencją.

— To niemożliwe. Ekscelencja zasiadł do obiadu i ma czas tylko dla gości.

— Ekscelencja przyjmie mnie od razu, gdy wymieni pan moje nazwisko.

Służący obejrzał Kurta ironicznie i wydał jakiś nieartykułowany dźwięk. Kurt wyjął pugilares.

— Oto moja wizytówka. Zamelduj mnie pan natychmiast.

— Żałuję, że nie mogę usłyszeć, ale...

— Rozkazuję panu, abyś mnie zameldował!

Kamerdyner nie śmiał dłużej się sprzeciwiać. Zniknął w jadalni, a po chwili wrócił.

— Proszę iść za mną — powiedział tonem pełnym szacunku. Zaprowadził porucznika do pokoju, w którym już był von Bismarck. Kanclerz zbliżył się i rzekł serdecznym tonem:

— Ponownie oddał pan cenną przysługę państwu. Dzięki pańskiej depeszy zatrzymano owego Rosjanina. W jego kapeluszu znaleziono dokumenty takiej wagi, że może być pan pewny naszego podziękowania. Ale jakże pan doszedł tej tajemnicy?

— Zanim odpowiem na pytanie, pozwoli mi pan wręczyć nowe dokumenty.

Otworzył paczkę i wręczył ją kanclerzowi.

— Podejmuję teraz gości i nie mam czasu na czytanie, ale przejrzę nagłówki.

Rozwinął pierwszy dokument i nie ograniczył się do nagłówka. Cały arkusz przeczytał uważnie i zaraz sięgnął po drugi.

— Proszę usiąść — mruknął do Kurta.

Sam stał i czytał dalej. Oczami zdawał się połykać wiersze, a drganie kącików ust świadczyło o jego wewnętrznym napięciu. Wreszcie skończył i utkwiał w młodym człowieku zdumione spojrzenie.

— Ależ, panie poruczniku, jak pan wpadł na to?

— Kapitan Shaw, który zbiegł, oddał je na przechowanie bankierowi Wallnerowi w Moguncji, ten zaś przekazał mi...

— Czy znał treść dokumentów?

Oczy wielkiego człowieka tak ostro wpatrzyły się w Kurta, że porucznik nie mógł

skłamać.

— Ekscelencjo, ten człowiek nie żyje...

— Samobójstwo?

— Tak.

— Melduj pan prędko!

— Miałem zaszczyt opowiedzieć waszej ekscelencji w obecności jego królewskiej mości o moich stosunkach rodzinnych i o historii rodu Rodrigandów. Moja ostatnia przygoda pozostaje w ścisłym związku z tą sprawą.

Po tym wstępie streścił pokrótce dzieje meksykańskiego skarbu i dokładnie zrelacjonował wszystko to, co doprowadziło do odkrycia knoń zdrajców. Oszczędził bankiera, jak tylko mógł, a jednak von Bismarck zauważył:

— Forma, w jakiej mi to pan przekazuje, przynosi panu taki sam zaszczyt, jak odkrycie owego spisku. Ma pan powody oszczędzać nieboszczyka, ale zapewniam pana, że możesz być ze mną szczery.

Kurt więc mówił dalej już bez osłonek. Twarz von Bismarcka miała szczególny wyraz. Gdy Unger skończył, uściśnął mu dłoń.

— Panie poruczniku, cenię pana. To słowo w moich ustach znaczy tyle co order. Na przyjaciela pana, von Platena, nie padnie żaden cień. Ale chcę szczególnie wynagrodzić pana, więc proszę, abyś jutro o dziewiątej rano stawiał się u mnie. Pojedziemy do króla. Niech usłyszysz od pana, jak udało się panu oddać nam tę wielką przysługę. Teraz muszę wrócić do gości. Zatem oczekuję pana jutro.

Powtórnie uściśnął dłoń młodego człowieka i zniknął za drzwiami jadalni. Kun zszedł po schodach pijany ze szczęścia.

Ludwika posłał z dworca do domu. Kiedy więc dotarł do willi, zastał wszystkich jej mieszkańców nad otwartą szkatułką. Posypały się pochwały i gratulacje.

— O, przeżyłem coś znacznie bardziej zaszczytnego! Wracam właśnie od von Bismarcka i...

— Co takiego?!

— Kanclerz powiedział do mnie: „Panie poruczniku, cenię pana. To słowo w moich ustach znaczy tyle co order”. I zaprosił mnie jutro na dziewiątą rano, aby pojechać ze mną do króla.

Zarzucono go gradem pytań. Kurt przybrał komicznie poważną minę.

— Chodzi o nader ważne tajemnice państwowe, których na razie nie wolno mi zdradzać.

— Spójrzcie na tego dyplomatę! — roześmiał się don Manuel. — Wydaje się mu, że jest prawą ręką Bismarcka.

— Jeśli nie jest jeszcze, to może zostać — oświadczyła Różyczka. Ledwie wyrzekła te słowa, spostrzegła, że zabrzmiały zbyt śmiało; rumieniec oblał jej twarz.

Matka pogłaskała ją po policzku i rzekła:

— Kurt ma wszelkie warunki do wybicia się, a poza tym wiele szczęścia. Jestem pewna, że będzie o nim głośno. Ale, drogi Kurcie, co zamierzasz począć z tymi klejnotami?

— Zapytał mnie już o to kapitan Rodenstein...

— I coś mu odpowiedział?

— Że chciałbym je podarować naszej „leśnej” Różyczce. Wszyscy się roześmieli, a Różyczka znowu oblała się purpurą. Jej matka zapytała:

— A co na to ten poczciwy, stary wojak?

— Hm, uważał, że nie powinienem sobie obiecywać zbyt wiele, gdyż nie jestem tym, który mógłby obdarowywać Różyczkę.

— Miał chyba na myśli to, że takiego skarbu nie należy ofiarowywać nikomu, lecz dobrze strzec. Wszyscy będziemy nad nim czuwali.

Kiedy Kurt znalazł się w swoim pokoju, cichutko zapukano do drzwi. Różyczka wsunęła głowę.

— Czy naprawdę chciałeś mi to podarować?

— Tak.

— Przechowuj klejnoty starannie, później, być może, przyjmę je od ciebie.

— O, moja droga!

Podbiegł do niej i objął mocno. Usta ich spotkały się w krótkim pocałunku. Różyczka szepnęła:

— Kapitan Rodenstein jest starym niedźwiedziem! Oświadczeni uroczyście, że już jesteś tym, który może mi dawać podarunki!

NIEWINNY KLUSOWNIK

Jesień minęła szybko i zawitała zima. Ku zadowoleniu myśliwych spadł świeży śnieg, łatwo zdradzający tropy zwierzyny. Pojedyncze płatki wirowały w powietrzu i osiadały w postaci gwiazdeczek na gałęziach jodeł i sosen, rosnących po obu stronach traktu do Reinswalden.

Dzień świtał zaledwie, ale mimo tak wczesnej pory jakiś człowiek szedł traktem.

Choć był lekko odziany, zdawał się nie dbać o chłód, dający się mocno we znaki. Wyglądał nader osobliwie. Buty, a raczej półbuty dziwnej roboty, cudzoziemskiej; niebieskie, przykrótkie, a za to bardzo szerokie spodnie, tu i ówdzie podziurawione; takiego samego koloru kurtka, za krótka i za wąska, na głowie zaś czapka, która niegdyś miała niewątpliwie daszek, teraz zaś rozlatywała się. Spod nie zapiętej kurtki widać było koszulę, szarą nie praną od wielu miesięcy. Długą, chudą szyję okalała stara chusta, spodnie zaś podtrzymywał pas sukienny, który zapewne od stuleci przechodził wszelkie możliwe koleje. Mężczyzna niósł na plecach pękaty worek płócienny, a z jego lewego ramienia zwisał długi, mocno sfatygowany wór skórzany o niewiadomym przeznaczeniu.

Najosobliwsza jednak była twarz tego człowieka: chuda, spalona słońcem i wygarbowana wichrami, o szerokich ustach, prawie pozbawionych warg. Oczka spoglądały czujnie i przenikliwie, a nos był wręcz niezwykły — raczej zasługiwał na nazwę dzioba niż szlachetnego organu powonienia.

Osobnik minął właśnie zakręt, gdy spostrzegł, że nie sam przemierza drogę — w niewielkiej odległości przed nim szedł jakiś mały, mizerny człowieczek.

— Well, ludzka kreatura — mruknął do siebie po angielsku.

— Jestem rad z tego, gdyż kalkuluję, że będzie mógł wskazać mi kierunek. Muszę go dogonić.

Świeży śnieg głuszył kroki. Człowieczek w ogóle ich nie słyszał, dlatego aż podskoczył z wrażenia, gdy rozległo się wołanie:

— Good morning, sir!

Odwrócił się szybko, ale ujrzawszy nieznanego, cofnął się przerażony. A ten spytał łamaną niemieczyzną:

— Dokąd prowadzi ta droga, przyjacielu? Zapytany nie mógł wydobyć głosu.

— No, czemu pan nie odpowiada? — zdenerwował się długonosy. Człowieczkowi wróciła przytomność. Z takim drabem — pomyślał — lepiej postępować grzecznie.

— Dzień dobry! — powiedział. — Ta droga prowadzi do Reinswalden.

— Czy zna pan tę miejscowość?

— Tak.

— A może mieszka pan tam?

— Nie.

— Kim pan jest właściwie?

— Weterynarzem.

— Hm! Piękne rzemiosło. Bydło łatwiej leczyć niż ludzką hołotę. A więc wezwano pana do Reinswalden?

— Tak. Do chorej krowy.

— Zastrzel ją pan, pozbędziesz się kłopotu.

— Co też pan mówi? Zastrzelić krowę? Weterynarz skrzywił się niedowierzająco.

— No, no, niech się pan tak nie przechwala!

W tym momencie tuż koło jego twarzy przeleciała gęsta plwocina, ciemna od soku tytoniowego.

— Do pioruna! — krzyknął. — Miej się pan na baczności! Uważaj! Uważaj, gdzie plujesz!

— Celowałem bardzo dokładnie — zapewnił ze spokojem dziwak. Mały przyjrzał mu się uważnie.

— Żuje pan tytoń? — zapytał. — Czy nie lepiej palić go lub wachać?

— Do palenia nie mam smaku, a za bardzo cenię sobie swój nos, by wachać tabakę.

— Rzeczywiście pana nos jest niezwykły. Ale żucie tytoniu bardzo szkodzi zdrowiu.

— Tak pan uważa? No, pan jako weterynarz musi się na tym znać. A więc dziś zamierza pan zbadać krowę?

— Tak.

— Czyja to własność?

— Pani Unger z folwarku niedaleko zamku.

— Czy ta pani jest wdową?

— Nie. Ale mąż zaginął przed laty. Dopiero niedawno otrzymała wiadomość z Meksyku, że żyje.

— Reinswalden to zamek?

— Tak. Należy do pana kapitana von Rodensteina, nadleśniczego. Dlaczego pan pyta?

— To pana nie powinno obchodzić.

— Być może. Ale pan nie wygląda mi na człowieka, który ma kontakty ze statecznymi

ludźmi.

— Nie? A jak wyglądam, he?

— No, musi pan przyznać, że wygląda jak istny zbój.

— Pffttf. — pocisk ze śliny trafił w kapelusz weterynarza.

— Do licha! Co pan wyprawia?! — oburzył się poszkodowany.

— Phi, zbójce tak postępują.

— Ale ja sobie wypraszam!

— Spotkała pana kara za grubiaństwo.

— To pan jest grubianinem! Przychodzi taki nie wiadomo skąd i tak mnie opluwa, że nie będę mógł pokazać się w Reinswalden.

Ze złością zdjął kapelusz.

— Weź go pan — powiedział — i wytrzymaj.

— Ja?! Co panu strzeliło do głowy.

— Niech pan natychmiast wytrze! Jeśli nie, porachuję się z panem — podniósł laskę.

— Co?!

— Uderzę pana w głowę.

— Bij pan! Pffttf.

Tym razem plwocina wylądowała na kurtce weterynarza.

— Tego już za wiele! Masz! Masz!

Zamierzył się, ale przeciwnik z błyskawiczną szybkością wyrwał mu laskę z ręki i cisnął wysoko ponad korony drzew. Potem chwycił małego człowieczka za biodra, podniósł i tak nim potrząsnął, że nieszczęsny zaniemówił ze strachu.

— Widzisz, karzełku, lepiej ze mną nie zaczynać — roześmiał się, sadzając go ostrożnie na ziemi. — To za zbója. A teraz wiesz stąd żywo, dokąd cię nogi poniosą! Jeśli schwytam cię za minutę, całą twoją wiedzę z ciebie wycisnę!

Weterynarz ciężko odetchnął. Chciał coś powiedzieć, oczy mu rozbłysły wściekłością, ale rozmyślił się, powoli odwrócił i w chwilę potem zniknął między drzewami.

— Mały kret, ale odważny! — mrucał nieznajomy. — W każdym razie zobaczymy się w Reinswalden. Ciekaw jestem, co też powie, jak się dowie, kim jestem. Hm, Sępi Dziób i zbój! Niech licho porwie tę przekłętą cywilizację, która każdego, kto nie nosi na gnatach fraka, od razu kwalifikuje jako zbója.

Ruszył dalej, lecz niebawem zatrzymał się nagle, przeskoczył przez rów i ukrył się za gęstym krzewem. Usłyszał bowiem szmer, który ucho jego, myśliwego z prerii, doskonale znało. Istotnie, po chwili wyszedł z lasu wspaniały rogacz.

— Koziół! — szepnął. — Ale jaki okaz! Do pioruna, co za szczęście, że naładowałem moje stare żelazo!

Nie uświadamiając sobie, że to nie Dziki Zachód, zrzucił natychmiast z ramienia skórzany wór i wyjął strzelbę. Kurek donośnie zgrzytnął. Koziół usłyszał i obrócił głowę w jego kierunku. Ale już padł strzał i zwierzę runęło na ziemię.

— Haloo! — zawołał głośno myśliwy. — To dopiero wystrzał.

W kilku susach był przy zwierzęciu. Wyciągnął nóż i zaczął je patroszyć zgodnie z zaleceniami sztuki myśliwskiej. Naraz usłyszał szybkie kroki. Nie zaprzętał sobie jednak nimi głowy. Pracował dalej, dopóki jakiś człowiek nie stanął tuż za nim.

Ten przede wszystkim podniósł porzuconą na ziemi strzelbę, obejrzał i zawołał:

— Niech piorun trzaśnie! Co też wpadło temu przekłętemu drabowi do głowy!

Teraz dopiero Sępi Dziób odwrócił głowę.

— Co mnie napadło. Wszak pan widzi.

— Widzę. Zastrzelełeś kozła!

— Czy miałem przepuścić taką piękną zwierzynę?

— Draniu, czyś oszalał?

— Oszalał? Ba! Pffttf!

— Do stu par fur beczek, furgonów, batalionów! Czy uważa pan mnie za holenderską spluwaczkę?!

— Nie, ale za arcygrubianina. Mówię do niego „pan”, a on do mnie „ty”! Niech mnie powiesz, jeśli to ma być uprzejmość!

— Uprzejmość czy nieuprzejmość, ale że powiesz, to nie ulega wątpliwości.

— Kto się ośmieli?

— Niech to sobie rozważy, a sam zrozumie. Czy nie wie, że strzelanie do zwierząt jest przestępstwem?

Sępi Dziób tak szeroko otworzył usta, że odsłonił komplet swych wspaniałych zębów.

— Do pioruna! O tym, Bóg jeden wie, nie pomyślałem nawet.

— Wierzę. Tacy hultaje dopiero w dybach myślą o karze. Kim jest?

— Ja? Hm! Kimże pan jest?

— Jestem Ludwik Straubenberger.

— Pańskie nazwisko nic mi nie mówi.

— Służę u pana nadleśniczego von Rodensteina.

— Nie nosi pan munduru leśniczego.

— Ponieważ jestem ordynansem pana porucznika Ungera.

— I służy pan u nadleśniczego? Jakże to być może? Ma pan dwóch panów?

— Dwóch czy dwudziestu, o to niech go głowa nie boli. Aresztuję go i musi iść ze mną!

— Do pana nadleśniczego?

— Do kogóżby innego, chłystku!

— Nieco uprzejmiej, jeśli łaska. Niech pan pokaże jakiś dowód, że pracuje pan w nadleśnictwie.

Nic podobnego Ludwika jeszcze nie spotkało.

— Piekło i zatracenie! — zawołał. — Ten hultaj żąda ode mnie dowodu! Dowiodę mu tak, że mu gęba spuchnie. Flinta już skonfiskowana. Czy pójdzie dobrowolnie czy nie?

— Nie pójdę.

— A więc potrafię pomóc! — I chwycił Jankesa za ramię.

— Precz z rękami!

— Aha, coraz bardziej się buntuje. Potrafię go poskromić!

— Pffttf!

I po głowie Ludwika spłynęła ciemnobrązowa ślina. Leśniczy puścił ramię kłusownika i zawołał z wściekłością:

— Do licha! Jeszcze pluje? Drogo mi za to zapłaci!

W tym momencie zza najbliższego krzewu rozległ się głos:

— W ten sam sposób mnie opluł. Czy mam panu pomóc, panie Straubenberger?

Ludwik odwrócił się.

— A, to ten lekarz krwi! Co pan tu robi?

— Szedłem właśnie do Reinswalden, gdy spotkałem tego człowieka. Zagadnął mnie i pokłóciliśmy się. Czy mam panu pomóc?

— Nie potrzeba. Sam potrafię sobie poradzić z takim szubienicznikiem. A zresztą... Zawsze co dwóch, to nie jeden. Niech pan go przytrzyma. Zwiążę mu ręce na plecach.

Usta Sępiego Dzioba drgnęły dziwnie.

— To byłoby dosyć wesołe — zaśmiał się.

— Nie widzę w tym nic dla niego wesołego.

— A jednak! Czy to nie wesołe, że kłusownik aresztuje odbiorcę swojej zwierzyny?

— Odbiorcę? Co to znaczy?

— Jestem kupcem z Frankfurtu. A ten mały to kłusownik. Od trzech lat dostarcza mi zwierzyny, którą ubija w reinswaldzkich lasach.

W weterynarza jakby piorun strzelił. Ludwik miał nie mniej zdziwioną minę.

— Trudno się w tym połapać! Mów pan, doktorze! Czy to prawda?

Weterynarz odzyskał mowę.

— Ja kłusownikiem? — jęknął płacząco i podnosząc palce jak do przysięgi, dodał:
— Przysięgam tysiackrotnie, że nie tylko kozła, ale myszy jeszcze w życiu nie postrzeliłem!

— Oho, teraz chce się sianem wykręcić! — zawołał Sępi Dziób. — A czyja jest ta stara pałka strzelająca? Oczywiście jego! I kto zastrzelił kozła? Nie ja, tylko doktor, ja mu jedynie dotrzymywałem towarzystwa.

— Jezusie Nazareński! — lamentował mały człowieczek, chwyciwszy się rękami za głowę. — Nie wierz mu pan, mój drogi, dobry panie Straubenberger!

— Do diabła! Nie wiem, co o tym sądzić — Ludwik wzruszył ramionami.

— Sądź pan, co ci się podoba! — powiedział Jankes. — Pewne jest to, że sam nie dam się aresztować. Byłem tak głupi, że poszedłem ze swoim dostawcą na miejsce występku, ale nie będę aż tak głupi, aby samemu ponosić karę.

— Święta Panienko, czego on chce ode mnie?! — zawołał weterynarz. — Jeszcze w życiu nie trzymałem flinty w ręku!

— Ale przy policzku. Mogę tego dowieść, śledztwo wyjaśni wszystkie okoliczności.

Ludwik zwrócił się do niego urzędowym tonem:

— Czy mówi prawdę? Czy może przysiąc?

— Wielokroć.

— W takim razie nic na to nie poradzę, doktorze. Jestem zmuszony aresztować pana jako kłusownika.

Weterynarz cofnął się przerażony.

— Na miłość boską, żartuje pan chyba! Jestem niewinny!

— To się okaże. Proszę się uważać za mojego więźnia.

— Więźnia?! Niebiosy, uciekam!

Chciał zmykać, ale Ludwik go pochwycił.

— .Aha, więc to tak?! — krzyknął. — Chciał drapnąć? Tym samym przyznał się do winy. Zwiążę was razem.

— To mi się podoba — ucieszył się Sępi Dziób. — Postępuje pan sprawiedliwie. Pozwolę więc panu skępować moje ręce.

— Nie brak panu roztropności. Dajże je pan!

— Ten łotr chce mnie zgubić — wrzeszczał weterynarz. — Jeszcze raz przysięgam na wszystkie świętości, że jestem niewinny!

— To się okaże — powtórzył Ludwik.

— Nie będzie pan chyba ciągnął mnie do Reinswalden w więzach? To byłoby straszne! Mój honor, moje dobre imię...

— ...zniweczone, sponiewierane! — skończył za niego Ludwik. — A prawda jest taka, że honor kłusownika nie wart złamanego szeląga. No, mój panie! Czy da mi pan dobrowolnie ręce, czy mam | uciec się do przemocy?

— Ustępuję wobec silniejszego! Oto moje ręce, ale żądam zadośćuczynienia!

— To nie moja rzecz. Spełniłem powinność, resztę zbada pan leśniczy.

Sępi Dziób nachylił się, podniósł worek, zarzucił go sobie na plecy i rzekł:

— Oto moje ręce.

Ludwik związał prawą rękę Sępiego Dzioba z lewą lekarza.

— A więc basta — odsapnął. — Ale kozła nie będę sam taszczył. To wasza rzecz.

— Mam już swój ciężar do dźwigania — Sępi Dziób wskazał na worek.

— A co w nim jest?

— Pięć zajęcy.

— Do pioruna! Skądże się wzięły?

— Lekarz zastawił wczoraj sidła, dziś przed świtem przybyliśmy je sprawdzić.

Znaleźliśmy pięć kotów.

Weterynarz znieruchomiał. Nie mógł wydobyć słowa. Ludwik zaś zmarszczył brwi.

— Więc również zastawianie sideł. To pogarsza sprawę! Zające niech nosi sam, a doktor weźmie kozła.

— Ależ to kłamstwo, zwyczajne, wierutne kłamstwo! — zawołał mały człowieczek.
— On sam schwycił zające!

— To się zobaczy.

— Wytoczę panu sprawę! Zażądam ukarania!

— To mnie nie wzrusza. Spełniłem swój obowiązek — powtórzył leśniczy.

— Ale moje dobre imię!...

— Nie nudź już pan — Ludwik zawiesił kozła na plecach weterynarza.

— Święty Ignacy! — lamentował biedak. — Teraz ja, najniezwyklejszy pod słońcem, muszę taszczyć takie ciężkie zwierzę!

— Ten kozioł jest znacznie lżejszy niż zbrodnie, które dźwigasz na sumieniu — odezwał się Sępi Dziób.

— Łotrze! Otruję cię, gdy tylko odzyskam wolność!

— Psiakrew, coraz gorzej! — gorączkował się Ludwik. — A więc także truciciel!
Dojdźmy tylko do Reinswalden. Pan nadleśniczy nie będzie mógł się nadziwić, jakich mu

szubrawców sprowadziłem. No, w drogę!

Weterynarz błagał, groził, lamentował — na próżno. Kiedy zapierał się nogami w ziemię, silny Jankes bez trudu pociągnął go za sobą.

W tym czasie nadleśniczy siedział w swoim gabinecie. Niedawno wstał i pił kawę. Był w złym humorze. Dlaczego, sam nie wiedział. Przecież przed paroma dniami nadeszła radosna wiadomość: list od Sternaua znad Rio Sabinas.

Rozległy się w korytarzu szybkie kroki. W drzwiach stanął Ludwik w służbistej postawie.

— Z czym to przychodzisz? — zapytał nadleśniczy mrukliwie.

— Z kłusownikami! Stary podniósł głowę.

— Czy dobrze słyszę?

— Według rozkazu, panie kapitanie. Przyproważyłem dwóch kłusowników.

— Święty Hubercie! Każę ich rozpiąć na matach i tak wyciągnąć, że gnaty będą sięgały od Berlina do Londynu! Gdzie ich masz?

— Na dole, w szopie. Siedzą spętani pod strażą dwóch ludzi.

— Kto ich schwytał?

— Ja.

— Ty sam? Gdzie?

— Na trakcie mogunckim.

— Opowiadaj.

— Spadł śnieg, panie kapitanie. Od rana obchodziłem obwody. Szedłem właśnie wzdłuż traktu, gdy rozległ się wystrzał z obcej strzelby, co natychmiast zmiarkowałem. Szybko się zbliżyłem i zobaczyłem huncwota, który klęczał nad naszym najpiękniejszym kozłem, patrosząc go w najlepsze.

— Niech dziewięćdziesiąt dziewięć piorunów trafi tego łotra! Czy znasz go?

— Nie, to kupiec z Frankfurtu. Handluje zwierzyną.

— Odkąd to kupcy kłusują?

— Nie on kłusował, ale ktoś inny.

— Czy znasz tego gagatka?

— Nawet bardzo dobrze. Nie zauważyłem go od razu, ale wkrótce wylazł zza krzaków. Nie dowierzałem własnym oczom. Tej nocy złapał pięć zajęcy w sidła.

— Pięć w ciągu jednej nocy? Tak marnować zwierzynę! Każę go szarpać rozżarzonymi obcęgami, jak jestem von Rodenstein i nadleśniczy.

— Zasłużył na to. Już od lat dostarcza zwierzyny frankfurckiemu handlarzowi.

— I myśmy go dotąd nie nakryli? Jeszcze jeden dowód, że na moich ludziach nie mogę polegać! Oczy i uszy mają niby otwarte, ale nie widzą ani nie słyszą. Teraz zabiorę się do was! Kto, od dnia dzisiejszego poczynając, nie złapie jednego na tydzień kłusownika, ten od razu straci posiadłość! W ten sposób za jednym zamachem pozbędę się kłusowników i was, gapy zatracone! Wy żrecie mój chleb, a moją piękną zwierzynę zmiatają inni! Co mamy jeść, ja i jego wysokość, nasz wielki książę? Może mamy się żywić sosnowymi szyszkami lub żołądziami? Tak wysoko zawieszę kosz z chlebem, że chcąc się najeść, będziecie musieli wyciągać szyje jak żyrafy! Kimże jest ten szubrawiec?

— To weterynarz.

— Nasz wete... — słowo uwięzło mu w gardle.

— ...rynarz! — dokończył Ludwik z naciskiem.

— Drabie, może zalałeś sobie pałę? Nasz weterynarz miałby być kłusownikiem? Niemożliwe! Wierutne kłamstwo!

— To prawda, panie kapitanie. Siedzi na dole w szopie.

— Niech się więc Bóg nad nim zlituje! Czy sprowadziłeś kozła?

— Tak. Sam go musiał taszczyć.

— Dobrze mu tak. Chciałbym, aby ten kozioł przyrósł mu do pleców! A co z zajęcami?

— Handlarz ma je w worku.

— Zaraz przesłucham tych zbirów. Wezmę w dyby, że będą ze strachu oblewać się zimnym potem! Do wszystkich diabłów! Skąd we mnie taka anielska cierpliwość! Idź, zwołaj cały nasz ludek! Niech wszyscy przyjdą do kancelarii. Kiedy dam ci znak, przyprowadzisz tych łajdaków. Pokażę im, co znaczy kozioł i pięć zajęcy! I jeśli już muszę przekazać ich sędziemu, to przedtem poddam takiej procedurze, że w porównaniu z tym więzienie wyda im się rajem!

Ludwik oddalił się spiesznie. Kiedy wyszedł na dwór, jeden z chłopców wyprowadził ze stajni osiodłanego wierzchowca kapitana.

— Zostaw tego konia i pomóż mi zebrać ludzi — polecił Ludwik. — Pan kapitan przed wyjazdem odprawi sąd.

— Nad kłusownikami?

— Tak. Wszyscy ludzie mają się stawić w kancelarii.

— Już biegnę!

W pięć minut później mieszkańcy Reinswalden zgromadzili się w kancelarii. Kapitan kazał im usiąść na krzesłkach ustawionych półkolem, sam zaś zajął miejsce pośrodku.

Przedtem skinął przez okno na Ludwika, który stał przy drzwiach szopy. Leśniczy otworzył wrota i wypuścił obu pojmanych.

— Stój pan, doktorze! — zawołał. — A gdzie kozioł?

— I teraz mam go taszczyć?

— Oczywiście. Jest to corpus delicti, corpusami są również zające.

— Ale ja jestem niewinny!

— Powiedz to pan kapitanowi. Lepiej ode mnie zna się na kryminale.

Sępi Dziób dźwigał swój worek. Był wciąż jeszcze związany za ręce z weterynarzem.

Kiedy prowadzono ich przez dziedziniec, Jankes ujrzał konia i kąciki ust mu zadrgały.

Ludwik zaprowadził kłusowników po schodach na piętro i otworzył drzwi.

— Oto oni, panie kapitanie! — zameldował. — Czy mam zdjąć kozła z doktora?

Von Rodenstein siedział z miną godną wielkiego hiszpańskiego inkwizytora.

— Nie. Niech ten szubrawiec sam go złoży.

— Przecież spętany.

— Uwolnij ich z więzów. Słyszałem, że przestępców nie krępuje się podczas przesłuchania. Musimy przestrzegać prawideł procedury karnej.

Ludwik rozwiązał im ręce. Uśmiech zadowolenia przemknął po twarzy Sępiego Dzioba. Weterynarz chciał dowieść swej niewinności, zanim jeszcze rozpoczęło się przesłuchanie.

— Panie kapitanie! — zawołał. — Spotkała mnie straszliwa niesprawiedliwość! Ja miałbym zastrzelić tego kozła? Przecież...

— Proszę o spokój — mruknął nadleśniczy. — Tu tylko ja mam prawo mówić. Kto z was ośmieli się rzec słówko nie pytany, tego zamknę w pace, rozumiano?

Człeczyna zamilkł. Kapitan zwrócił się do Sępiego Dzioba.

— Znam tamtego. A kim ty jesteś, hę?

— Kupcem z Frankfurtu — oświadczył zapytany.

— Twoje nazwisko?

— Enrique Landola.

Von Rodenstein zerwał się z krzesła.

— Do pioruna! Jakiej narodowości?

— Hiszpan — odrzekł traper.

Kapitan przeszył go ostrym spojrzeniem.

— Łotrze, drabie, oszuście! Od jak dawna jesteś handlarzem?

— Od kilku lat dopiero.

— Czym byłeś poprzednio?

— Kapitanem.

— Korsarzem, nieprawdaż?

— Tak — przytaknął Sępi Dziób.

— Niech cię diabeł ujeżdża, ty wyrodku piekielny! Enrique Landola! Że też nareszcie mamy tego bandytę! Ale, człowieku, jak się spotkałeś z weterynarzem?

— Sporządzał dla mnie trucizny. Weterynarz aż podskoczył.

— Wszystkie dobre duchy, to fałsz! Ani słowa prawdy!

— Spokojnie, trucieliu! — huknął kapitan. — Dziś jest dzień zemsty. Dziś ją sądzę! Dziś będą zdemaskowani ci, których nikt nie mógł zdemaskować. Enrique Landola, ilu ludzi otrułeś?

— Dwustu sześćdziesięciu dziewięciu. Nawet kapitana ogarnęła zgroza.

— Szatanie! — jęknął niemal. — Aż tylu? Dlaczego?

— Ten weterynarz tego chciał. Musiałem, inaczej by mnie zgładził.

— Jezusie drogi, Jezusie! — krzyczał lekarz. — To kłamstwo!

Sępi Dziób wzruszył ramionami.

— Oczywiście łąe. Był najbardziej krwiożerczym z wszystkich moich piratów. Mogę tego dowieść.

— Człowieku, jesteś potworem! Zawsze zajmowałem się wyłącznie leczeniem zwierząt i...

— Nie cyganić! — przerwał mu nadleśniczy. — Dopiero od dwóch lat przebywa pan w tej miejscowości. A co pan przedtem robił, nie wiadomo.

— Byłem w Elberfeld...

— To się okaże. A teraz milcz pan! Muszę się rozmówić z Landolą. Rozbójniku, szubrawcze, czy znasz niejakiego Corteja?

— Tak.

— Jak go poznałeś?

— Przez tego weterynarza, który jest szwagrem Corteja.

— Nie, na Boga nie! — protestował mały. — Nie znam żadnego Corteja, nigdy jeszcze nie słyszałem tego nazwiska!

— Nie gadać, bo każę wygarbować skórę! — ryknął kapitan.

— Dowiem się, kto jest pana szwagrem. — I ponownie zwrócił się do Sępiego Dzioba: — Czy prowadziłeś interesy z owym Cortejem?

— Nawet bardzo wiele. Mój statek korsarski był jego własnością.

— Ten łotr ma przynajmniej odwagę mówić prawdę! Czy znasz doktora Sternaua?

— Tak.

— Czy przypadkiem nie chciał cię pewnego razu schwytać?

— Tak.

— Co więc zrobiłeś?

— To, co teraz czynię. Do miłego zobaczenia, panie kapitanie. Miał wciąż swój worek na plecach. Odwrócił się błyskawicznie i skoczył ku wyjściu. Po chwili był już za drzwiami. Przekręcił klucz w zamku i zbiegł po schodach. Na dziedzińcu dopadł konia, odwiązał go, wskoczył na siodło i pogalopował.

Nikt w kancelarii nie ruszył się z miejsca. Wszyscy siedzieli jak zahipnotyzowani. Pierwszy oprzytomniał kapitan.

— Ucieka! — krzyknął. — Prędko za nim! — i podbiegł do drzwi. — niech to piorun trzaśnie, przekręcił klucz w zamku! — Już był przy oknie i wyglądał na podwórze. — Do stu kartaczy! Dosiada konia! Minał bramę! Jeśli tak dalej pójdzie, to go nie schwytemy! Wyważyć drzwi!

Zaczęli napierać na nie z całych sił. Bez skutku. Wreszcie otworzyła je stara kucharka, która z pomieszczeń gospodarskich usłyszała wrzawę w kancelarii.

— Wyprowadzić konie! — rozkazał kapitan. — Musimy go dopaść! Ile było koni, tylu jeźdźców z kapitanem na czele wyjechało przez wrota. Wkrótce spotkali jakiegoś wieśniaka.

— Tomasz! — zawołał kapitan. — Czy widziałeś jeźdźca?

— Widziałem.

— Z workiem na plecach?

— Tak.

— Dokąd jechał?

— Choć wyraźnie się spieszył, zatrzymał się przy mnie i zapytał o willę Rodrigandów.

— A więc zmierza do niej?

— Tak, panie kapitanie.

— Dogonimy go! Naprzód, młodzieńcy! Który z was złapie tego ptaszka, dostanie całoroczny żołd!

Mimo podeszłego wieku mknął na czele. Zdawało się, że sam chce zdobyć nagrodę.

W tym całym zamieszaniu wszyscy zapomnieli o weterynarzu. Został sam. Dobre kilka minut wpatrywał się w otwarte drzwi.

— Jezus, Maria! Co robić? Też uciec? Nic mi nie pozostaje! Przecież kłusownik,

truciciel i korsarz! Ukryję się na parę tygodni, dopóki moja niewinność nie zostanie stwierdzona.

Zbiegł po schodach. Na podwórzu nie było nikogo. Trzęsąc się ze strachu minął teren zamku, zszedł z drogi i zaszył się w zagajniku. Pani Unger daremnie wypatrywała weterynarza.

Niedaleko zamku Reinswalden hrabia Manuel de Rodriganda y Sevilla zbudował śliczny, choć nieduży dom, w którym zamieszkał z córką i wnuczką, a także z matką i siostrą Sternaua.

Wkrótce po ucieczce Sepiego Dzioba traktem jechał lekki wóz. Skręcił na drogę prowadzącą do tej willi. Siedział w nim Kurt, który wracał z trzytygodniowej podróży.

Po niedługim czasie ujrzał dobrze sobie znaną ozdobną budowlę. Brama była na oścież otwarta. Młody człowiek wysiadł, zapłacił stangretowi i wbiegł po schodach na górę.

Naprzeciw wyszedł mu niewysoki mężczyzna. Był to odźwierny.

— Witam, panie poruczniku, witam!

— Dzień dobry, Alimpo. Już na nogach, tak wcześnie?

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Tak mawia moja Elvira. Jakże można spać, kiedy się wie, że pan przyjedzie.

— A więc Ludwik doniósł o tym?

— Tak. Jest obecnie w Reinswalden. Trzyma się gorliwie pana nadleśniczego.

— Gdzie państwo?

— W bawialni.

Zdjąwszy palto i kapelusz, Kurt wszedł do salonu. Zastał tam don Manuela, panią Rosetę Sternau, jej teściową z córką oraz Amy Dryden.

— Przybyłem tylko na kilka, może kilkanaście godzin, aby się pożegnać na dłużej — rzekł Kurt, przywitawszy się ze wszystkimi. — Dziś, najpóźniej jutro, wyjeżdżam.

— Ach, jaka szkoda! — zmartwiła się Roseta. — Czy to podróż służbowa?

— Tak. Niech pani zgadnie, dokąd. To zamorski kraj i pani go dobrze zna.

— Mój Boże, czyżby pan mówił o Meksyku?... Skinął potakująco.

Miał właśnie zamiar wszystko szczegółowo opowiedzieć, gdy przeszkodził mu jakiś jeździec, który w pełnym galopie wjechał przez bramę, ściągając na siebie powszechną uwagę. Był to Sepi Dziób. Zeskoczył z konia i z workiem na plecach wszedł po schodach na górę. Tu zabiegł mu drogę Alimpo.

— Kim pan jest?

— A kim pan? — odciął się Amerykanin.

— Jestem Alimpo, kasztelan tego zamku.

— Chcę mówić z mieszkańcami.

— Powiedz pan przede wszystkim, kim jesteś!

— To zbyteczne. Nie znają mnie przecież. Ale przynoszę ważną wiadomość.

— Właśnie państwo zebrali się w salonie. Ale, drogi przyjacielu, pański ubiór nie pozwala się tam pokazać.

— To nie powinno pana obchodzić! Proszę mnie wpuścić natychmiast!

— Muszę najpierw zapytać, czy mogę pana wpuścić.

— Nonsens. Wejdę od razu i kwita.

Bezceremonialnie odsunawszy Alimpa, stanął na progu bawialni. Hrabia podszedł do niego:

— Wtargnął pan tutaj. W jakiej sprawie? Do kogo?

— Do was wszystkich.

— Kim pan jest?

— Nazywają mnie Sępm Dziobem.

Usta hrabiego zadrgały od wstrzymywanego śmiechu. Jakże celne przezwisko dla tego obdartusa!

— Skąd pan przybywa?

— Jestem... Ach, już nadjeżdżają! Nie przypuszczałem, że ten stary tak prędko wywęszy mój trop!

Zachowując się tak swobodnie, jakby był we własnym domu, podszedł do okna. Właśnie kapitan Rodenstein zeskakiwał ze swego nie osiodłanego konia.

— Dzień dobry, Alimpo! — krzyknął do odźwiernego, który wyszedł na ganek. — Powiedzże prędko, czy był tu jeździec?

— Tak.

— Obdarty i z workiem na plecach?

— Tak.

— Bogu dzięki, mam go! Gdzie jest ten łotr?

— U państwa w bawialni.

— Do licha! Muszę zaraz tam iść, zanim zdarzy się coś złego! Błyskawicznie znalazł się na górze, otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Ujrzeć zbiega i dopaść go — to było jego marzenie.

— Łotrze, mam cię! — zawołał, nie witając się z nikim. — Nie uciekniesz mi już!

— Co się właściwie stało, kapitanie? — dopytywał się hrabia. — Co to za człowiek?

— Łotr! Największy zbrodniarz pod słońcem! Otruł przeszło dwieście osób.

Popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

— Przyglądajcie się mu — kapitan z trudem łapał oddech. — Choćbyście wypatrzyli oczy i tak nie uwierzycie, że to prawda najszczerza. Ludwik go schwytał, ale zdołał nam umknąć, kiedy go sądziłem. Nazywa się Enrique Landola.

— Enrique Landola? — zdziwił się Kurt. — Korsarz? O, nie, to nie on! Znam tamtego.

— Ależ sam się przyznał!

— Że nazywa się Landola? Niemożliwe!

— Zapytaj go więc!

Kurt podszedł do Jankesa:

— Jakże to może być. Czy rzeczywiście podał się pan za Landolę? Czy zna pan tego człowieka?

— Słyszałem o nim.

— Ale skądże panu wpadło do głowy podszywać się pod niego? Amerykanin wzruszył ramionami.

— Żart — odpowiedział krótko.

— Ten żart mógł pana drogo kosztować. Landola nie cieszy się tutaj sympatią.

— Wiem o tym.

— Ależ to on! — upierał się kapitan. — Ten szubrawiec ma jeszcze w worku pięć moich zajęcy, które złowił weterynarz.

— Wyraża się pan zagadkowo — don Manuel pokręcił głową i zwracając się do Sępiego Dzioba zapytał: — Skąd pan właściwie przybywa?

— Od lorda Drydena, który...

— A więc z Meksyku? — przerwała mu Roseta.

— Tak, bezpośrednio. Sądząc z opisu, jest pani Rosetą Sternau, czyli Rosetą de Rodriganda, prawda?

— Zgadza się.

— W takim razie mam coś dla pani — wyciągnął z worka list. — Od sir Henry'ego Drydena. Byłem w Meksyku jego przewodnikiem i towarzyszem. Przeżyliśmy bardzo wiele i jestem gotów wszystko państwu opowiedzieć.

— Dziękuję, bardzo dziękuję! Czy mam odczytać list, drogi ojcze?

— Za chwilę. Najpierw musimy się zająć tym dzielnym tajemniczym człowiekiem.

— Rzeczywiście tajemniczym — skwapliwie dodał kapitan. — A w dodatku głupim!

Człowieku, dlaczego udawał pan Landolę? Wypraszam sobie na przyszłość podobne figle. Mówże, kim jesteś naprawdę!

Sępi Dziób przesunął fajkę w zębach i wypluł grudkę ciemnobrunatnej śliny tak blisko twarzy kapitana, że ten cofnął się przerażony.

— Do miliona fur piorunów! — zaklął. — Co za bezczelność! Pluć mi koło nosa! Szczęście, żeś nie trafił we mnie. Za kogo mnie właściwie uważasz, hę?

Amerykanin uśmiechnął się przyjaźnie:

— Za wspaniałego lorda, naczelnego sędziego z Reinswalden, sir. Ale to nie ma nic do rzeczy. Gdy pluję, to pluję, i basta. Chcę widzieć takiego, co mi zabroni. Kto nie chce narażać się na oplucie, ten może zejść mi z drogi.

Don Manuel powiedział pojednawczym tonem:

— Nie bądź pan taki małostkowy! Kapitan von Rodenstein nie chciał pana obrazić. Pragnął tylko wiedzieć coś więcej o pańskiej osobie i jego stosunkach.

— Phi! — Sępi Dziób się zachnął. — Stoi przed moją osobą i wystarczy mu ją tylko obejrzeć. Może dokładnie oglądać nawet mój nos i to bez opłaty. A moje stosunki? Czy wyglądam na takiego, w którym można się zakochać? Nie chcę nic wiedzieć o rodzimym kobiecym! Jak w ogóle pierwszy lepszy może mnie pytać o takie rzeczy! Ja nie pytam o jego miłości!

Hrabia roześmiał się.

— Myli się pan. O pańskich miłosnych stosunkach nie było wcale mowy. Chcieliśmy się tylko dowiedzieć, kim pan jest. Chyba można zrozumieć naszą ciekawość.

— Kim jestem? Hm! Że się nazywam Sępi Dziób, to samo przez się zrozumiałe ze względu na mój nos. A że jestem myśliwym z prerii...

— To dlatego — mruknął nadleśniczy — taki łasy na zwierzynę.

— No właśnie. Nie mogłem wytrzymać, kiedy zobaczyłem kozła. Zdjąłem strzelbę i zastrzeliłem.

— Do diabła! A więc pan go zastrzelił? Nie weterynarz?

— Oczywiście, że ja.

— Niech to piorun trzaśnie! Ale wszak od lat dostarczał panu zwierzynę?

— Boże uchwaj!

— I to nieprawda? A więc nie jest kłusownikiem?

— Ani trochę, tak samo jak ja nie jestem kupcem z Frankfurtu.

— Do pioruna! A zatem wprowadził mnie pan w błąd?

— Ano wprowadziłem.

Stary poczerwieniał z wściekłości i huknął:

— Do stu furgonów, jakże się mógł ośmielić!

— Pffttf!

Kapitan ledwo zdążył się cofnąć przed plwociną. To go jeszcze bardziej rozzłościło.

— Uważać mnie za głupca, a następnie opluwać, mnie wielkksiążęcego nadleśniczego i kapitana von Rodensteina! Ten pies musi dostać takie baty, żeby nie mógł utrzymać się na nogach! Jeśli przybył z Meksyku, aby ze mnie zakpić, to tak długo będę mu wybijał Meksyk z głowy, że zapomni o jego istnieniu! A teraz chcę wiedzieć, co go skłoniło do tych złośliwych żartów ze mnie.

— Niech się zastanowię... Hm... Nic! Starzec aż otworzył usta ze zdumienia.

— Nic? Absolutnie nic? Chciał więc tylko ze mnie zadrwić?

— Tak.

— A to ci huncwot. Kpiny sobie ze mnie stroił! Ze mnie! Słyszycie wszyscy! Ale mam go w swoich rękach! Wie, co go czeka? Więzienie!

Sępi Dziób roześmiał się.

— Z powodu kozła? Absurd!

— Absurd... absurd powiada pan? Czy nie zna naszych praw?

— Co mi z waszych praw? Jestem wolnym Amerykaninem.

— Nie jesteś wolnym Amerykaninem, ale zatrzymanym łotrem. My kłusownictwo karzemy więzieniem.

Sępi Dziób skrzywił się z niedowierzaniem.

— U nas możemy strzelać, ile się nam podoba.

— U was może tak, ale nie tu.

— Do pioruna, nie pomyślałem o tym! Kozioł wyszedł z lasu, więc strzeliłem, to wszystko. Jeśli zamkniecie mnie w więzieniu i tak ucieknę.

— Tym razem niełatwo będzie uciec. Ale skąd się pan tu w ogóle wziął?

— Zostałem przysłany w sprawach rodziny Rodrigandów.

— Czemu mi tego od razu nie mówił? Posłucham, co za wieści przywiózł, a potem zdecydujemy, co z nim dalej robić.

Nikt z obecnych nie przerywał dialogu. Bawili się znakomicie. Dlatego pozwolili obu przeciwnikom wygadać się do woli. Dopiero teraz odezwał się hrabia:

— A więc znamy pana nazwisko i zawód. Czy zechce nam pan wreszcie powiedzieć, jak się pan spotkał z ludźmi, którzy nas tak bardzo interesują?

— Z przyjemnością. Czy wie pan, co znaczy słowo „scout”?

— Nie.

— Pffttf. — Sępi Dziób pluwał prosto w ogień kominka. — Nie wie pan? Przecież każdy to wie. Bywają westmani, którzy mają taki zmysł orientacyjny, że nigdy nie błądzą. Znają każdą drogę, każdą rzekę, każde drzewo i krzewinę i zawsze znajdą miejsce, gdzie jeszcze nigdy nie byli. Takich ludzi nazywa się scoutami. Każda karawana, każda wyprawa myśliwska musi mieć jednego lub więcej scoutów, jeśli nie chce zginąć. Takim scoutem ja jestem.

— Do pioruna! — zaklął kapitan. — A więc wyuczył się wszelkich dróg i ścieżek amerykańskich pustkowi? Nie znać tego po nim.

— Czy mam głupią minę?

— Bardzo głupią.

— Pffttf. — sok tytoniowy wraz z prymką trafił kapitana w pierś. Stary cofnął się, znów zaklął i podszedł do Amerykanina.

— Jak śmiesz znieważać wielkoksiążęcego nadleśniczego i kapitana? Czy myślisz, że inni nie potrafią pluć? — i pluwał w czoło Jankesowi.

Sępi Dziób otarł twarz powoli i odezwał się wprawdzie spokojnie, ale z naganą w głosie:

— Początkujący... Jak śmie nazywać amerykańskiego scouta głupcem? Czy uważa, że tutejszy nadleśniczy jest mądrzejszy od dobrego myśliwego z prerii? A może myśli, że kapitanowi wielkoksiążęcej armii można się równać ze scoutem? Jeśli mnie sędzi według ubrania, które teraz noszę, to się bardzo myli.

Sępi Dziób niedobrze mówił po niemiecku. Mimo to jego dosadna mówka wywarła na kapitanie mocne wrażenie. Zrozumiał, że ma przed sobą człowieka, który mu dorównuje nie tylko pod względem rubaszości, podrapał się więc za uchem i rzekł:

— To ci dopiero uprzejmy człowiek! Pluje śliną jak diabeł otrębami w młynie. No, teraz będę trzymał język za zębami.

— Postąpi pan bardzo właściwie — Sępi Dziób uklonił się z przesadną galanterią. I zwracając się do innych, ciągnął: — A więc jestem takim scoutem. Pewnego pięknego dnia znalazłem się w Refugio i zostałem przyjęty przez angielskiego lorda, który chciał jechać w górę Rio Grandę del Norte.

— To był mój ojciec? — ucieszyła się miss Amy.

— Tak. Posłał mnie do Paso del Norte do Juareza z meldunkiem, że przywozi mu broń i pieniądze. Prezydenta spotkałem w małym forcie Guadalupe, przedtem jednak poznałem tam innych, ciekawych ludzi. Przed wszystkim myśliwego zwanego Czarnym Gerardem.

Następnie małego, ale dzielnego chłopca, który szczególnie was zainteresuje.

— To nasz znajomy? Jak się nazywa?

— Mały Andre. Ma brata w Reinswalden.

— Nie ma tu nikogo nazwiskiem Andre.

— Andre to imię, nie nazwisko. Inaczej Andreas.

Słyszając to Ludwik, który podczas rozmowy wszedł po cichu, aby pomóc w ujęciu zbiega, nastawił ucha.

— Andreas? Do pioruna! Mam przecież brata o takim imieniu. Poszedł w daleki świat i przepadł jak kamień w wodę.

— Kim był?

— Browarnikiem.

— Zgadza się. Jak się pan nazywa?

— Ludwik Straubenberger.

— Mały Andre nazywa się właśnie Andreas Straubenberger. Ludwik złożył dłonie jak do modlitwy.

— Czy to być może? Mój brat? Naprawdę mój brat?

— Tak.

— Bogu dzięki! Andreas żyje! Mój brat żyje! Gdzież jest teraz?

— Ta właśnie sprawa sprowadza mnie tutaj. Nie wiem, gdzie jest, i musimy go odszukać. Tymczasem powiem o innych, których spotkałem w forcie.

Zaczął mówić o wszystkim, co mu się przytrafiło od przyjazdu do Guadalupe aż do przybycia wraz z Juarezem na hacjendę del Erina. Nie znał dokładnie związku faktów i osób, ale jego relacja wywarła wrażenie na słuchaczach. Dowiedziano się z niej znacznie więcej niż z listu Sternaua.

Roseta była szczęśliwa, że jej mąż żyje. Ale wkrótce znów się zasmuciła na wieść o kolejnym zaginięciu Sternaua. Twarz jej pobladła.

— Powtórz pan jeszcze raz — prosiła Sępiego Dzioba drżącym głosem. — Powiedziałaś, że doktor i jego towarzysze odłączyli się od was, by przy pomocy Miksteków zdobyć hacjendę, opanowaną przez zwolenników Corteja...

— To im się udało. Pojechaliśmy za nimi i dotarliśmy tam nawet prędzej, niż przewidywaliśmy. Ale ich już nie było w hacjendzie.

— Dokąd się udali?

— Nie wiadomo. Nie pozostawili żadnej informacji. Juarez początkowo przypuszczał, że wnet wrócą. Ale gdy czas mijał, a prezydent musiał ruszać dalej na południe,

zaniepokoił się poważnie. Lord Dryden nie mógł opuścić Juareza. Mnie więc zlecił poszukiwania. Tropiłem ich aż do Santa Jaga. Tam straciłem ślad.

— Co pan o tym sądzi?

— Najprawdopodobniej Cortejo schwytał ich w pułapkę.

— Mój Boże! Musimy ich ratować, jeśli jeszcze nie jest za późno.

— Po to właśnie tu jestem. Z Santa Jaga wróciłem do lorda. Juarez uważał, że Cortejo uciekł do Pantery Południa i wydał mu swoich wrogów. Wysłał nawet posła do Pantery. Ten kazał powiedzieć i prezydentowi, że Corteja u niego nie ma, że w ogóle nie ośmieliłby się przybyć do niego. Wtedy pojechałem do Pantery Południa, i Rzykowałem głową, ale szczęście mi dopisało. ‘

— A rezultat?

— Niestety, niepomyślny. Przekonałem się, że ani Corteja, ani zaginionych nie ma u Pantery. Przypuszczam, że doktor Sternau, i jego ludzie zostali uwięzieni jako przyjaciele Juareza.

— Jest więc nikła nadzieja, że będzie można ich uwolnić?

— No tak, ale naprzód trzeba wiedzieć, gdzie szukać... Juarez i Dryden uciekali się do wszelkich sposobów i nic nie wskórali. Przysłali mnie więc tutaj, abym was zawiadomił i może dowiedział się czegoś nowego.

Wszyscy patrzyli po sobie posępnie. Co mogli począć, jeśli nawet Juarezowi i Drydenowi nie udało się trafić na ślad zaginionych?

Roseta i Amy cicho płakały. Hrabia, starsza pani Sternau i jej córka podeszli do okna i udawali, że wyglądają przez nie na podwórze. Jedyne von Rodenstein musiał dać upust swemu zmartwieniu. Ścisnąwszy pięści wykrzyknął:

— Do stu par beczek piorunów! Bodajbym raz jeszcze był młody! Poleciałbym tam w te pędy i przetrząsnął cały Meksyk! Ale moje stare gnaty nie pozwolą mi na taką wyprawę. Nie mam już krzepy.

— Ja mam za to młode kości, drogi ojciec chrzestny — powiedział Kurt.

— To prawda, mój chłopcze. Ale gdzie tobie do Meksyku? Wówczas Roseta spojrzała na nich i zawołała:

— O, Boże! Przecież właśnie porucznik Unger wybiera się do Meksyku, do prezydenta Juareza!

— Czyżby? — zdziwił się kapitan.

— Tak — powiedział Kurt. — Polecono mi ważną misję, ale myślę, że znajdę dosyć wolnego czasu na poszukiwania naszych zaginionych.

Traper wbił wzrok w porucznika.

— Pan? Pan chce jechać do Meksyku? Młody człowieku, zostań pan lepiej w domu! Klimat tamtejszy nie służy takim paniczom. W powietrzu błakają się kule.

— To mi się podoba. Nawet bardzo.

— Ale taka kula łatwo może zabić.

— Po co te złośliwości? — chłodno odparował Kurt. — Co zamierza pan robić, gdy załatwi pan swoje poselstwo?

— Wrócę do Meksyku. Powiedziałem, co miałem powiedzieć i tylko czekam na odpowiedź, którą pragną otrzymać od państwa prezydent i sir Dryden. Mogę wyruszyć jeszcze dzisiaj.

— Czy pojechałby pan razem ze mną?

— No, cóż... Chyba przydam się panu tam u nas. A kiedy będzie pan gotów do podróży?

— Dziś wieczorem albo jutro rano. Pozwoli pan, że zadam mu jeszcze jedno pytanie. Gdyby pewien pruski minister poprosił pana o rzetelne informacje na temat aktualnej sytuacji w Meksyku, czy udzieliłby ich pan?

— To zależy od tego, czy miałby wobec mnie dobre zamiary.

— Tego jestem pewien.

— A więc kto to?

— Von Bismarck.

— Ten chłop diabelski? Ale przecież nawet gdybym się zgodził, pan musi już jutro wyjechać.

— Mimo to sądzę, że uda mi się panów skontaktować.

— Gdzie teraz jest von Bismarck?

— W Berlinie.

— Zgoda. Spotkam się z nim.

— Dziękuję. Ale... — rzucił znaczące spojrzenie na łachy myśliwego. — Nosi pan ubiór nieodpowiedni do takiej wizyty.

— Tak? No, w worku mam lepszy, prawdziwy strój meksykański.

— Nikt nie powinien wiedzieć, że jest pan Meksykaninem. Stawi się pan u kanclerza incognito.

— Incognito? Niech mnie piorun trzaśnie! Świetnie to brzmi. Co więc mam począć, he?

— Po prostu włoży pan zwykłe cywilne ubranie. Załatwię to panu.

— Załatwić? To znaczy zapłacić? — Wyjął zza pazuchy pękatą sakiewkę. — Chłop, który przybywa z Meksyku do Europy, ma dosyć pieniędzy, by zapłacić za surdut i krawat.

— Nie chciałem pana obrazić.

— Mam nadzieję! A więc kiedy pan jedzie?

— Dziś wieczorem, ostatnim pociągiem. Ludwik nas odwiezie na stację.

— Nas? Nie jestem przyzwyczajony do takich luksusów. Wyznacz mi pan raczej miejsce w Berlinie. Będę tam czekać na pana.

— Dobrze. Zatem jutro o trzeciej po południu w „Magdebumskim Dworze”.

Kurt odszedł, aby poczynić przygotowania do podróży. W pół godziny później zapukano do drzwi. Wszedł von Rodenstein.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że Amerykanin już teraz wyjeżdża.

— Do Berlina? — zdziwił się Kurt.

— Najpierw do Moguncji, ale przedtem jeszcze wpadnie do mnie. Mam jego broń. Przeklęty, głupi kawalarz! Ale łajdak ma cięty j język!

— To z więzienia nici?

— Właściwie powinienem go wsadzić, cóż, kiedy to grubianin.

Lubię uprzejmych ludzi, przywykłem do subtelnych form towarzyskich. Do zobaczenia!

— Do zobaczenia!

Wychodząc, kapitan mrucał do siebie pod nosem:

— Tak, dostał za swoje, ale... do miliona furgonów beczek piorunów! Wcale dotychczas nie wiedziałem, że mam takie łagodne usposobienie.

MASKARADA W MOGUNCJI

W kilka godzin później Sępi Dziób wędrował po ulicach Moguncji i z ciekawością oglądał wystawy. Wreszcie zatrzymał się przed jakimś domem.

— „Lewi Hirsch. Ubiory gotowe” — przeczytał szyld. — Wejdę tutaj.

Gdy otworzył drzwi, przywitało go badawcze spojrzenie syna Izraela. Wygląd Sępiego Dzioba nie budził zaufania.

— Czego sobie łaskawy pan życzy? — zapytał Żyd.

— Ubrania.

— Ubranie? Całe? Aj, waj!

— Naturalnie, że całe, a nie porwane.

— Porwane? Boże Abrahama! Czy ja miałbym porwane ubranie dla wielkiego państwa, co przychodzi do Lewi Hirscha, co jest najlepszy tailler w całej Moguncji, żeby nakupić różnych pięknych rzeczy? Czym jest łaskawy pan?

— To go nie obchodzi.

— Czy pan tutejszy?

— Nie.

— To pan nie przychodzi, żeby wziąć rzeczy na kredyt, to znaczy na borg?

— Płacę gotówką.

Kupiec obejrzał trapera jeszcze dokładniej i powiedział uprzejmie:

— Dla mojego ucha to brzmi pięknie i szlachetnie. To pan masz tak dużo pieniędzy zapłacić za cały garnitur, co się składa ze surduta, ze spodni i pięknej kamizelki?

— Do diabła! Nie powinna go głowa boleć o moją sakiewkę! Zrozumiał mnie?

— Boże Sprawiedliwy! Przecież muszę pytać, aby być pewny, kiedy chodzi o interes.

— Pewny? Do pioruna, czy uważa mnie pan za włóczęgę? Kupiec wysunął wszystkie dziesięć palców, cofnął się o krok i rzekł:

— Co łaskawy pan mówi? Jak ja mogę pomyśleć słowo, które łaskawy pan zechce rzucić grzecznie oko na siebie samego. Czy się nosi w zimie garniturek, który na lato jest zimny i który noszą tylko zwyczajne ludzie?

— Pffttf!

Kupiec chwycił się rękoma za twarz.

— Boże Abrahama! Co pan robisz?! Plujesz pan do twarzy uczciwego człowieka! Czy nie może pan pluć tam, gdzie nie ma żadnych twarzy?

— Phi, kto nie chce być opluty, powinien zastanowić się nad każdym słowem. Nie mam czasu na długie rozmowy. Niech mi powie, czy chce pokazać ubranie czy nie.

Żyd otarł twarz połą surduta.

— Naturalnie, że chcę pokazać ubranie. Ale łaskawy pan niech mi powie, jakie pan chce widzieć ubranie.

— Hm! — zamyślił się traper. — Potrzebne mi takie, w którym nie będę poznany.

— A więc chce się łaskawy pan przebrać?

— Tak. Nikt nie powinien poznać, skąd przybywam.

— No to muszę wiedzieć, skąd łaskawy pan przybywa.

— To go nie obchodzi! Niech mu wystarczy, że muszę podróżować, jak to nazywają incognito.

— To ja pokażę frak, który nosił Metternich na kongresie, co był odbyty w stolicy Wiedeń przeciwko cesarzowi francuskiemu imieniem Napoleon.

— Kim był Metternich?

— Minister i księżę polityczny jak cesarz i bogaty jak wielki mogoł, co to jest dwa razy większy jak słoń.

Handlarz przyniósł z zakamarka sklepu cudaczny strój brązowo—czerwonawego koloru, bufiasty, z wyłogami i przybrany guzami wielkości talara. Sępi Dziób obejrzał go i zapytał:

— Co kosztuje ten frak ministerski?

— Nie mogę go sprzedać niżej dwanaście talarów i dziesięć srebrnych groszy.

Myśliwy był przyzwyczajony do cen amerykańskich.

— Tanio — powiedział. — Oto trzynaście talarów.

Sięgnął do worka i wyciągnął olbrzymią sakiewkę, z której wypłacił handlarzowi trzynaście srebrnych talarów. Sprzedawca był oszołomiony.

— Łaskawy pan otrzymał ten frak o cztery talary za tanio, ale ja żądałem tak mało, bo łaskawy pan chce brać inne jeszcze rzeczy, żeby uzupełnić strój. Czy mam przynieść kamizelkę i spodnie?

— Naturalnie. Ale w nich także muszę wyglądać incognito.

— Więc muszę zapytać, jako co łaskawy pan chce być.

— Jako co? Hm! O tym nie pomyślałem. Za kogo można uchodzić, kiedy się jeździ incognito?

— Czy pan może chce pójść za artystę?

— Artysta? Do pioruna, tak! Do tego akurat się nadaję. A ile jest gatunków artystów?

— Naprzód poeci.

— Dziękuję, to głodomory.

— Rzeźbiarze.

— Ci za bardzo kuja.

— Komponiści i muzykusy.

— Hm... To byłoby nawet niezgorzej. Komponista i muzykus. To mi się bardziej podoba. Jaką musiałbym zatem nosić kamizelkę?

— Dam łaskawemu panu zieloną w tak wiele niebieskich kwiatuśków, że przypominać może łąkę pełną niezapominajek. A do niej czarno–szare spodnie, modne za czasów Sebastiana Bacha, co mocny był we wszystkich organach i komponował wiele tek z nutami.

— Więc niech przyniesie spodnie i buty.

— Dam łaskawemu panu także kapelusz, taki wysoki i szeroki, jaki nosił Orfeusz przedtem, zanim zszedł do Orkusa.

— Dobrze, kupię ten kapelusz.

Kapelusz był straszliwy. Rondo miało trzy stopy średnicy, a główka była odpowiednio do tej miary wysoka.

— Jak pan chce uchodzić za muzykusa, to czy nie musi pan nosić nuty, aby pokazać, że jest wielki komponista?

— Do diabła! Zupełnie o nich zapomniałem! Czy ma tu pan jakieś?

— Dlaczego nie mam mieć nut? Czy łaskawy pan da talara?

— Tak. Przyniesie wreszcie!

Handlarz przyniósł nuty na gitarę i wprawki na pianino.

— Ale kiedy się jest komponista — rzekł z zastanowieniem — to musi się mieć także instrument, aby dmuchać do niego albo gładzić w górę i w dół.

— To prawda. Ale czy ma jakiś instrument?

— Co nie mam mieć? Co jaśnie pan woli: skrzypce na dwie struny czy puzon, od którego runęły trzy mury Jerycha?

— Wolę puzon.

— Już się robi! — wyciągnął instrument z kupy starego żelastwa.

— Do licha! — zawołał traper. — Są na nim zadrapania.

— Czy może być inaczej? Czy nie mówiłem, że od tego puzonu runęły mury w Jerycho?

— Hm! Skoro tak... Ale widzę też dwie dziury.

— Dlaczego łaskawy pan nie ma być zadowolony z tych dziur, co są dobre dla muzyki i płuc? Nie trzeba dmuchać powietrza aż do samego końca. Samo wychodzi przez dziury.

— Racja. Ile to kosztuje?

— Kosztowało mnie samego dziesięć talarów, ale oddam za osiem.

— Dobrze, oto pieniądze! Czy nie mógłbym zapłacić banknotem? Srebrny bilon przyda mi się później.

Wyciągnął z sakiewki paczkę banknotów dziesięciotalarowych. Wyjął jeden i położył na stole, resztę schował w kieszeń spodni. Handlarz z uwagą śledził jego ruchy. Co za nieostrożność tyle dziesięciotalarówek pchać do kieszeni!

— Należy mi się reszta dwa talary — rzekł Sępi Dziób. — Daj mi pan za nie okulary.

— Jakie sobie łaskawy pan życzy? Binokle, lorgnon czy monokl?

— Coś, co się nadaje do incognito.

— To ja dam antykwariackie okulary, z nosa mistrza Glucka, co komponował wiele sztuk teatralnych. Kosztowały mnie samego cztery talary. Ale oddam łaskawemu panu za dwa, bo łaskawy pan kupił całe ubranie.

— Chciałbym je zaraz włożyć. Czy można się tu gdzieś przebrać?

— Niech łaskawy pan wejdzie w ten kąt, ja mu pomogę.

— Czy nie odkupiłby pan tego starego ubrania?

— Aj, waj! Co można dać za takie łachy?! Obejrzę, a potem powiem.

Mimo okrzyku „aj, waj” oczy mu rozbłysły radością. Nie spuszczał wzroku z Sępiego Dzioba, kiedy ten zaczął się przebierać. Chciał się przekonać, czy cudzoziemiec zapomni o dziesięciotalarówkach, czy też wyjmie je z kieszeni spodni.

Sępi Dziób włożywszy nowy strój, odsunął nogą stary i zapytał:

— No, jak tam? Kupuje?

— Najpierw obejrzę.

Wziął spodnie, ukradkiem — jak sądził — namacał kieszenie i poczuł miły dla jego uszu szelest papieru. Przypuszczał, że było tego ponad dwieście talarów.

Od wielu stuleci zmysł stał się mocną stroną Żydów. Ponieważ zabroniono im zajmować się rzemiosłem, większość ich została kupcami. Gorzkie doświadczenia rozbudziły w nich żądzę gromadzenia dóbr materialnych. Nic więc dziwnego, że ręce Hirscha drżały z podniecenia.

— Co mam dać za te szmaty, których nikt nie kupi? — biadolił. — Nie są warte złamanego...

— Ile daje? — przerwał Sępi Dziób.

— Za wszystko razem talara.

— Co też sobie myśli! Zabieram z powrotem. Handlarz kurczowo trzymał spodnie.

— Niech będzie moja strata. Dwa talary.

— Nie ubijemy targu — Sępi Dziób wyciągnął rękę po rzeczy.

— Trzy talary...

— Ani mi się śni.

— Cztery...

— Nie.

— Ostatnie słowo: pięć talarów!

— Nie sprzedam za mniej niż czterdzieści talarów.

— Czterdzieści! — Żyd szeroko otworzył usta. — Łaskawy pan raczy żartować!

— Materiał jest utkany z sierści leniwców. Kto nosi taką tkaninę, ten nigdy nie zachoruje na febrę.

— Leniwce? Boże Abrahama, Izaaka i Jakuba! Skąd pewność, że to leniwce? Dam dziesięć talarów, ani grosza więcej!

— Czterdzieści. Niech się szybko decyduje. Muszę wyjechać i nie mogę dłużej tracić czasu u niego — chwycił spodnie i starał się przyciągnąć do siebie.

Hirsch, nie wypuszczając ich z rąk, zawołał z męką w głosie:

— Trzydzieści!

— Czterdzieści.

— Trzydzieści pięć!

— Czterdzieści. Albo oddać rzeczy.

— Boże Abrahama! To nie są rzeczy pana, tylko moje, bo dam czterdzieści talarów.

— Pospiesz się więc.

Żyd powtórnie namacał banknoty w kieszeni, całą garderobę zwinął w tobołek, odłożył i wyjął pieniądze.

— Oto czterdzieści talarów. Kupa pieniędzy za takie łachy! Ale niech będzie moja strata. Łaskawy pan może iść — chciał jak najszybciej pozbyć się gościa, bo bał się, że przypomni sobie o banknotach.

Sępi Dziób roześmiał się kupcowi prosto w twarz.

— Idę więc sobie. Zdarł ze mnie słono, ale się nie targowałem, ponieważ to nie przystoi dżentelmenowi. Jesteśmy kwita! Do zobaczenia!

— Do zobaczenia, łaskawy panie.

Zaledwie Sępi Dziób wyszedł, otworzyły się drzwi w głębi. Było tam mieszkanie

handlarza. Do sklepu weszła jego żona.

— Lewileben! — zawołała, załamując ręce. — Co ty zrobiłeś? Wielkie, okropne głupstwo!

Hirsch szybko zamknął drzwi sklepu na klucz i podszedł do kobiety.

— Ja miałem zrobić głupstwo?

— Okropne! Dałeś za te lachmany czterdzieści talarów! Byłeś wariat w twojej głowie!

— Nie, byłem sprytny. Zrobiłem bardzo dobry interes.

— Naprawdę? — twarz żony rozjaśniła się. — Słyszałam każde słowo. Co to był za człowiek?

— Czy ja wiem? Czy ja pytałem? To był gliniany golem. Kupił najgorsze rzeczy za zwariowane ceny.

— A ty kupiłeś te szmaty, które nie są warte dziesięć groszy, za jeszcze bardziej zwariowaną cenę!

— Kobieto, co ty się na tym rozumiesz! Te szmaty są warte wiele razy po czterdzieści talarów.

— Bo są z wełny leniwców, co?

— Leniwców? Śmieję się z tego, Saraleben! Oszukano tego człowieka.

— To zwykła wełna! I ty dałeś czterdzieści talarów? Czy chcesz, aby cię zamknięto w domu, gdzie wariaci mają letnie mieszkanie?

— Saraleben, żal mi ciebie. Te rzeczy są warte ponad dwieście talarów. Zaraz ci dam dowód. Sięgnij do kieszeni spodni!

— Po co? — ociągała się.

— Włóż rękę! Zobaczysz, co znajdziesz! Wetknęła rękę i rzekła:

— Papier.

— Tak. Wyjmij!

Zobaczył w jej dłoni kilka kawałków papieru.

— Co to? — przestraszył się.

— Pokrojona gazeta.

— O, Manache i Efraim! Wskazałem ci niewłaściwą kieszeń. Sięgnij do drugiej. Prędko, prędko, Saraleben!

— Tam nic nie ma. Zbladł jak ściana.

— Nic?! — wykrztusił. — Naprawdę nic?!

— Zupełnie nic.

— A w tej pierwszej?

— Tylko kawałki gazety.

Zaczął gwałtownie przewracać obie kieszenie. Były puste. Wypuścił spodnie z rąk.

— Boże Sprawiedliwy! — jęknął. — Oszukano mnie! Jestem kapores, jestem plajtę na czterdzieści talarów.

Tak osłabł, że musiał usiąść na krześle. Ona natomiast zaczęła mu wygrażać pięściami.

— Co jesteś? Kapores i plajtę na czterdzieści talarów?! Nie! kapores twój rozum, a plajtę twój mózg!

— Saraleben! — rozpaczał. — Miał przecież przeszło dwadzieścia banknotów w kieszeni.

— Jakich banknotów?

— Dziesięcotalarowych.

— Widziałeś?

— Tak.

— No to wyjął z powrotem!

— Nie widziałem.

— Kto on jest?

— Czy ja wiem?

— Dokąd poszedł?

— Powiedział, że musi iść na dworzec.

— To idź, biegnij za nim! Musisz go znaleźć!

— Ale po co, Saraleben, po co?

— Niech odkupi swoje spodnie za czterdzieści talarów. Oszukał ciebie.

— Przecież to ja chciałem go oszukać.

— O, Lewleben, jaki z ciebie idiota! Wstydzę się za ciebie.

— Jestem jak Hiob. Dopiero co bogaty, a teraz biedny.

— Hiob nie kupował wełny leniwca.

— Być może, nie było jeszcze wtedy leniwca, Saraleben. Jestem zmęczony, jestem chory, jestem umarły. Mnie już nic nie może uratować, tylko grób. O, Saraleben! Mój testament spisany... Leży tam w skrzyni ślubnej. Tobie zostawiam wszystko, ale wierzyciele nie dostaną ani grosza. Żegnaj, zły świecie!

Sępi Dziób, opuściwszy sklep, szedł statecznym krokiem, ale gdy tylko skręcił za pierwszy róg, podskoczył i wybuchnął śmiechem.

— O, Lewi! Aleś głupi! Wsadziłem banknoty do kieszeni, żeby cię ocyganić. A kiedy

zapropnowałem sprzedaż spodni, pieniędzy już tam dawno nie było. Pięciu sprytnych Żydów nie dorówna jednemu Jankesowi! Czterdzieści talarów za te łaszki! Całe ubranie mam za darmo i jeszcze sporo gotówki.

W swym nowym stroju wyglądał nader cudacznie. Niby przebieraniec karnawałowy. To wrażenie potęgował jeszcze jego wielki, masywny nos.

Zaledwie przeszedł parę kroków, zaczęły biec za nim dzieci. Kapelusz z bardzo szerokim rondem, frak, sztuczkowe spodnie, buciki balowe, okulary i puzon przykuwały uwagę przechodniów. Przyjął to z wielkim zadowoleniem.

— Do pioruna! W tym stroju jest mi widać do twarzy — mrucał. — Niedługo czekać, a cała młodzież pobiegnie za mną.

Z dumnie podniesioną głową szedł więc dalej, z workiem i strzelbą na plecach, a z puzonem w rękę. Świta jego coraz bardziej się powiększała i sprawiała taki hałas, że z obu stron ulic otwierano okna.

— O, Jerzy Waszyngtonie! Moguncja długo będzie pamiętała Sępiego Dzioba! Szkoda tylko, że nie wiedzą, kim jestem, wszak podróżuję incognito.

To incognito nie miało jednak trwać długo. Na rogu zjawił się policjant. Zobaczywszy dziwaka i tłum za nim biegnący, podszedł do Amerykanina i chwycił go za ramię.

— Stop! Kim jesteś?

Sępi Dziób przystanął i przyjrzał się policjantowi.

— Pffttf! — plunął mu koło nosa. — Ja? A kim on jest?

— Stróżem porządku.

— Jesteśmy więc kolegami. Jest strażnikiem leśnym.

— Mydlenie oczu! Czy wie, że ma odpowiadać na każde moje pytanie?

— Czy nie doczekał się odpowiedzi na pytanie?

— Ale jakiej! Skąd pochodzi?

— Stamtąd.

— Co to ma znaczyć?

— No, że nie stąd.

— Człowieku, powściągnij język, bo będę musiał cię aresztować! Jak się nazywasz?

— Sępi Dziób.

— Żarty na bok! Skąd przybywa?

— Stamtąd — Sępi Dziób wskazał poza siebie.

— A dokąd idzie?

— Tam — wskazał przed siebie.

— Niech nie kpi! Jest moim więźniem.

— Coraz lepiej! A jeśli się sprzeciwię?

— Za opór stawiany władzy posiedzi trzy lata w więzieniu.

— Do diabła! To razem trzynaście. Dziś miałem dostać dziesięć.

— Za co?

— To go nie obchodzi.

— Człowieku, jesteś albo wariatem, albo idiotą! W każdym razie za żarty drogo zapłacisz.

— No, jeśli już jeden z nas ma być wariatem, a drugi idiotą, to wolę być wariatem.

— Czy do mnie pijesz?

— Nie, do mnie, to znaczy do wariata.

— Ale idiota to ja?

— Istotnie. Na to, niestety, nic nie mogę poradzić.

— Widzę, że daremnie gadać na ulicy. Niech ze mną idzie. Naprzód!

— Dokąd?

— Wkrótce się przekona. Co tu ma w worku?

— Przybory podróżne.

— A w tym drugim?

— Strzelbę myśliwską.

— Czy ma pozwolenie na broń?

— Mam.

— Kto wystawił?

— Ja sam.

— No, to niech będzie gotów do rozstania się ze strzelbą i do dwóch dodatkowych lat więzienia.

— Niech piorun trzaśnie! Znów dwa lata?

— To w sumie już piętnaście lat. W niezłym tempie rośnie. Tak rozmawiając, szybko szli naprzód, odprowadzani przez tłum ludzi. Wreszcie dotarli do biura policji.

— Tutaj się dowie, co znaczy aresztowanie.

— Wiem już od dawna.

— Nieraz siedział za kratką?

— To go znów nie obchodzi.

— Grubianin jest, ale zatkaną mu się usta. Wejść!

Weszli do sieni, a stąd do przedpokoju. Było tam kilku wartowników, a na ławce

drzemało parę osób, oczekujących zapewne, aż przesądzi się ich los. Policjant wskazał myśliwemu tę ławkę i rzekł:

— Niech tu siada!

Sępi Dziób jednak położywszy na ziemi worek płócienny, puzon i worek ze strzelbą, rzucił się na krzesło.

— Wara! — krzyknął policjant. — To krzesło nie dla niego. Sępi Dziób wzruszył ramionami.

— Wiem chyba, jakie miejsce jest dla mnie odpowiednie. Policjanci spojrzeli ze zdumieniem na zuchwałego jegomościa.

Jeden z nich zapytał:

— Kmąbrny gość. Kto to jest?

— Sam nie wiem — przyznał ten, który go tu przyprowadził.

— Wygląda jak przebieraniec. Czy zwariował?

— Spotkałem go na ulicy. Tłum biegł za nim. Nie chciał pokazać dokumentów, dlatego zabrałem go ze sobą.

— Tutaj nauczy się gadać!

— To już dawno umie, stary byku — oświadczył Sępi Dziób. — Nie uważałem za stosowne wdawać się w rozmowę na ulicy. Nie miałem zresztą czasu.

— Tu będzie miał aż nadto.

— Niewiele. Muszę wyjechać najbliższym pociągiem.

— To nas nie obchodzi! Dokąd jedzie?

— Hm! Czy chce ze mną jechać?

— Z nim? Ani mi się śni! — roześmiał się policjant.

— No to po co mu wiedzieć, dokąd jadę?

— Oho! Takiego grubianina nie spotkałem jeszcze w życiu! Ale tu go nauczą grzeczności!

— Pffttf! Może on mnie nauczy? Nie wydaje mi się tęgim bakałarzem.

— Niech piorun trzaśnie! — zaklął policjant. — Jak śmie pluć na mnie? I w dodatku lżyć! Jeśli się jeszcze raz ośmieli, zamknę go w pace. A teraz niech wstanie z krzesła i usiądzie na ławce, na właściwym dla siebie miejscu.

Sępi Dziób rozsiadł się wygodniej i skrzyżował nogi.

— Powoli, powoli, stary byku! Każdy, kto usiądzie na tym krześle, poczytać sobie winien za zaszczyt, że ja na nim siedziałem.

— A więc opór! Wskażę mu mieszkanie, w którym będzie mógł się zadomowić

wygodnie nie obrażając innych ludzi! Pójdzie ze mną do lochu.

— Do lochu? ‘Piekielnie mi się nie chce.

— Nie ciekawi nas, czy chce, czy nie chce. Naprzód! Policjant położył rękę na ramieniu Sępiego Dzioba. Traper strząsnął ją, podniósł się i rzekł:

— Człowieku, niechże słucha, co mu powiem! Nie popełniłem żadnego przestępstwa, a mogę się chyba ubierać, jak mi się podoba. Jeśli tłum za mną biegnie, to dowód jego głupoty. Mógłbym się wykazać dokumentami, ale przedstawiam je tylko wówczas, kiedy traktuje się mnie jak dżentelmena.

— Dżentelmena? — policjant spojrzał zdziwiony. — Nie chce chyba powiedzieć, że jest cudzoziemcem? Niech nie sądzi, że mu uwierzę.

— Ba! Czy uwierzy, czy nie uwierzy, to mnie nie obchodzi. Ale zdaje się, że nie przywykł do towarzystwa dżentelmenów, gdyż do nich nie mówi się w trzeciej osobie.

Urzędnik był rozwścieczony.

— Co wygadujesz, drabie! — zawołał rozdrażnionym głosem. — Chcę mu zwrócić uwagę, że mam sposoby, aby nauczyć rozumu najbardziej opornych włóczęgów!

Naraz drzwi się otworzyły, jakiś mężczyzna w okularach wsunął głowę i zapytał ostrym tonem:

— Co się tu dzieje? Wypraszam sobie hałasy! Policjanci natychmiast stanęli w postawie służbowej.

— Proszę wybaczyć, panie komisarzu — usprawiedliwiał się sprawca hałasu. — Mamy tu aresztanta, który jest w najgorszym stopniu oporny.

Komisarz przyjrzał się traperowi.

— Do licha, co to za gość?

— Nie wiemy. Odmawia odpowiedzi.

— Czy oglądaliście jego dokumenty?

— Nie chciał ich pokazać. Wydaje się niespełna rozumu.

— Dlaczego aresztowany?

— Jego dziwaczny ubiór wywołał zbiegowisko. Żądałem informacji, a nie otrzymawszy zadowalającej odpowiedzi, aresztowałem go.

— Czy poszedł dobrowolnie?

— Tak. Ale tu zachowywał się jak grubianin i śmiał nawet grozić, gdyż — ha, ha, ha! — nie traktowaliśmy go jak dżentelmena...

— I ponieważ grożono mi zamknięciem — dodał Sępi Dziób.

— Odpowiadać tylko wówczas, kiedy go pytają! — huknął komisarz.

— Nie mogę czekać, aż ktoś zechce mnie pytać. Czas nagli, muszę wyjechać najbliższym pociągiem.

— Dokąd?

— Nie będę każdemu opowiadać.

— Mnie musi.

— Jeśli pan ma odpowiednie kompetencje, jeśli będzie pan pytał uprzejmie, nie odmówię odpowiedzi.

Komisarz roześmiał się z ironią:

— No, odpowiednie kompetencje posiadam, a uprzejmy będę wobec niego, o ile to uznam za właściwe. Co dzwiga w tym worku?

— Strzelbę.

— Broń? Czy ma pozwolenie?

— Tak.

— A w tym drugim?

— Rozmaite rzeczy.

— Niech wyliczy.

— Kto chce wiedzieć, co mam w worku, niech sam zajrzy! Zresztą pozwalam sobie zapytać, czy to pokój przesłuchań? Oświadczam już, że gotów jestem odpowiadać, ale nie wobec wszystkich.

— A więc niech idzie za mną!

Komisarz wszedł do swego gabinetu i skinął na policjanta, aby przyniósł puzon, worek i broń.

Sępi Dziób wszedł za nim. W pokoju ujrzał człowieka tak podobnego do komisarza, że nietrudno było odgadnąć w nich braci. Miał długą, wypielęgnowaną bródkę i wyglądał na wojskowego, mimo że nosił cywilne ubranie. W oczy rzucało się jego prawe ramię — rękaw swobodnie zwisał, zatknięty za pasek. Był to dawny podporucznik huzarów gwardii von Ravenow, który przed czterema miesiącami stracił w pojedynku z Kurtem prawą rękę.

Spojrzał na trapera na pół zdumionym, na pół rozweselonym wzrokiem.

— Do licha, co za straszidło przyprowadziłeś? — zapytał z uśmiechem komisarza.

— Żywa zagadka, której rozwiązanie wnet nastąpi — odparł zapytany, po czym zwrócił się do trapera: — Powie mi przede wszystkim, kim właściwie jest. Myśliwy wrzucił ramionami.

— Przede wszystkim muszę wiedzieć, czy jest pan człowiekiem, któremu mogę udzielić informacji.

— Niech piorun trzaśnie! Czy nie słyszał, że jestem komisarzem?

— Tak, ale nie wierzę.

— To zabawne. Dlaczego wątpi?

— Ponieważ myślę, że komisarzem może być tylko człowiek, który potrafi uprzejmie rozmawiać z ludźmi.

— Tak? A zatem jestem nieuprzejmy wobec niego?

— Hm! Chcę tylko zwrócić uwagę, że jestem przyzwyczajony traktować ludzi tak, jak mnie traktują. Odtąd będę tak do pana mówił, jak pan do mnie.

Były wojskowy gładził brodę.

— Przeklęty grubianin! — zawołał. — Go to za puzon? Jego? Zapewne więc jest ulicznym muzykiem.

Komisarz uśmiechnął się.

— Czyli artystą! Uszanuję to i chwilowo będę się posługiwał formą „pan”. Mam honor — zwrócił się do trapera — przedstawić się panu jako komisarz policji von Ravenow.

— Dziękuję — Sępi Dziób uklonił się chłodno.

— A pan, mój panie? — zapytał komisarz.

— Zanim odpowiem, muszę wiedzieć, kim jest ten z brodą.

— Ale pan ciekawy! To mój brat. Podporucznik rezerwy von Ravenow.

— Nie pracuje w policji?

— Nie.

— Muszę więc prosić, aby wyszedł.

— Niech to piorun trzaśnie! — porucznik zerwał się z krzesła. Ile zuchwałości w tym człowieku!

Komisarz ściągnął brwi i powiedział surowym tonem:

— Nie żądaj pan za wiele! Ja decyduję, kto ma zostać, a kto wyjść.

— Proszę więc, aby mnie pan zwolnił. Nie pozwolę się przesłuchiwać w obecności obcego człowieka.

— Dobrze! Zwolnię pana i odprowadzę do celi, gdzie będziesz miał dosyć czasu, aby się zastanowić nad swoim postępowaniem.

— W takim razie żądam, aby mnie zameldowano u dyrektora policji. Na pewno dowiem się od niego, czy mogą mnie wziąć z tego powodu, że nie pozwalałam się przesłuchiwać w obecności osoby postronnej.

— Zamknij go i każ wychłostać! — wrzasnął porucznik.

Sępi Dziób podszedł do niego i podniósł prawą rękę jak do uderzenia.

— Piśnij jeszcze słówko, chłystku, a dostaniesz w gębę, że ci nos spuchnie jak balon! Jeśli przypuszczasz, że możesz tu rozkazywać, bo jesteś oficerem i bratem człowieka, który chce mnie wysłuchać, to mylisz się bardzo. Nie pozwolę się nastraszyć, rozumiano?

Porucznik cofnął się o krok i popatrzył na brata.

— Mam nadzieję, że tego bezwstydu...

— Uspokój się! — przerwał mu komisarz. — Ani słowa więcej, jeśli chcesz się zapoznać z pięściami takiego... no... tego człowieka. On ma rację. Nie mogę go przesłuchiwać w twojej obecności. Proszę cię zatem, abyś wyszedł. Na kilka minut. Załatwię się z nim szybko.

— Mam ustąpić temu włóczędze? Komisarz wzruszył ramionami.

— Takie są przepisy.

— Więc się nie dziw, że jeśli wyjdę, już tu nie wrócę. Naszą sprawę, jak sądzę, wyjaśniliśmy do końca?

— Nie mam nic więcej do dodania.

— A więc żegnani! — wyszedł z dumnie podniesioną głową. Komisarz starał się nie dać poznać po sobie, że zachowanie brata mocno go obeszło.

— Pana strzelba! — zwrócił się do trapera rozkazującym tonem.

— Oto ona — wyciągnął ją z futerału i podał.

— Pozwolenie na broń!

— Służę!

Komisarz przeczytał dokument. Był wystawiony na okaziciela, a zatem nie wymieniono w nim nazwiska Sępiego Dzioba. Teraz przywołał podwładnego.

— Otwórz pan worek! — polecił zwierzchnik policjantowi. — I wyjmuj wszystko po kolei.

Najpierw obejrzano sakiewkę. Okazało się, że pełno w niej złotych monet.

— Skąd pan wziął te pieniądze? — zapytał komisarz.

— Zarobiłem.

— W jaki sposób? Muszę wiedzieć, bo tyle złota nie pasuje do pana wyglądu.

— Czy mój wygląd ma być również złoty?

— Nie strój pan żartów! Może pan za nie drogo zapłacić! Co jeszcze jest w tym worku?

— Dwa rewolwery — odparł policjant.

— Znowu broń!

— I wielki nóż.

— Pokazać. Obejrząwszy nóż spytał:

— Co to za plamy na klindze? Czy krew?

— Ludzka — odpowiedział traper.

— Zabił pan człowieka?

— Wielu.

— Gdzie?

— W rozmaitych miejscach.

— Kim byli?

— Nie zwracałem na to uwagi. Ostatni chyba oficerem. Von Ravenow spojrzął na niego jak na upiora.

— Człowieku! Ośmiela się pan mówić o tym tak spokojnie?! Każę pana zakuć w kajdany! Posterunkowy, wyciągać dalej z worka!

Policjant rozłożył na biurku rozmaite części garderoby, uszyte z dobrych materiałów. Ozdobione złotymi i srebrnymi sznurami albo galonami.

— Co to jest? — zdziwił się komisarz.

— Czy trudno zgadnąć, że to ubranie? — odpowiedział pytaniem traper.

— Skąd je pan wziął?

— Kupiłem.

— Te sznury i galony są drogie. Muzykant nie ma środków na kupno takich maskaradowych ubiorów.

— Kto mówi, że to strój maskaradowy?

— Każdy widzi.

— Phi! Ten każdy musi być bardzo głupi. A kto panu powiedział, że jestem muzykantem?

— Ten puzon.

— Ten puzon nic jeszcze nie powiedział! Nie wydał ani jednego dźwięku. Kupiłem go dopiero pół godziny temu, tu niedaleko u Lewi Hirscha, tak samo zresztą jak ubranie, które mam na sobie.

— Ale co pana skłoniło do takiego przebrania?

— Podoba mi się, to wystarczy.

— Jak się pan nazywa?

— William Saunders.

— Skąd?

— Z Saint Louis w Stanach Zjednoczonych.

— Kim pan jest?

— Zwykle myśliwym na prerii. Podczas wojny zaś kapitanem, a raczej rotmistrzem dragonów Stanów Zjednoczonych.

— Niech diabeł panu wierzy! Czy może pan tego dowieść? Czy ma pan paszport?

— Tak.

Sępi Dziób wyciągnął z worka stary pugilares, wyjął jakiś papier i podał komisarzowi.

— No, no — urzędnikowi zrzęda mina. — Prawdziwy paszport, wystawiony na nazwisko kapitana Williama Saundersa, który z Nowego Orleanu udaje się do Meksyku.

— Mam nadzieję, że rysopis się zgadza.

— Z tym nosem nie może być pomyłki! Ale dlaczego przyjechał pan do Niemiec zamiast do Meksyku?

— Byłem już w Meksyku.

— Czy może pan tego dowieść?

— Sądzę, że tak. Czy słyszał pan może o niejakim sir Henrym Drydenie, hrabim z Nothingwell?

— Czy to nie pełnomocnik rządu angielskiego, który miał dostarczyć broń Juarezowi?

— Tak.

Sępi Dziób wyciągnął drugi paszport. Komisarz przeczytał i rzekł raczej rozczarowany niż zdziwiony:

— Był pan przewodnikiem i towarzyszem lorda, a także Juareza?

— Tak jest. Scoutem Juareza, prezydenta Meksyku.

— Wiem, kim jest Juarez.

— No, to jeszcze jeden papier.

Komisarz po przejrzeniu dokumentu zakłopotał się jeszcze bardziej.

— Człowieku! Toż to nader gorąca rekomendacja, napisana przez prezydenta po angielsku i francusku!

— A czy zna pan seniora, a raczej herr von Mangusa?

— Ma pan na myśli naszego przedstawiciela w Meksyku?

— Tak. — Sępi Dziób podał czwarty dokument. Komisarz zmienił się na twarzy.

— Wiza wydana przez tego urzędnika! Skąd pan zna von Mangusa?

— Byłem u niego na obiedzie.

— Jako zaproszony gość? Ależ panie kapitanie, muszę panu powiedzieć, żeś mnie całkowicie wykołował! Ten piękny, bogaty strój to chyba meksykański?

— Tak, zwykle ubieram się mniej niż skromnie, ale kiedy przychodzi się do posła

pruskiego, wkłada się coś lepszego. Rozumie pan chyba.

— Oczywiście. A czy wolno zapytać, co sprowadza pana do Niemiec?

— Sprawy rodzinne i polityczne.

— A więc ma pan tu krewnych?

— Nie krewnych, lecz znajomych.

— Gdzie?

— W Reinswalden.

— Znam mieszkańców posiadłości. Którzy to z nich?

— No, hrabia de Rodriganda i jego rodzina.

— Do pioruna! Skąd ich pan zna?

— Ja? Skąd, skąd oni mnie znają.

— Ach, proszę wybaczyć! Nie mam prawa pytać o sprawy prywatne. Ale wspomniał pan także o politycznych. Co mam przez to rozumieć?

— Misję, o której tu oczywiście nie będę mówił.

— Rzecz jasna. Czy mogę jednak wiedzieć, dokąd się pan udaje?

— Do Berlina.

— W tajnej misji?

— Być może. Widzi więc pan, że nie mogłem rozmawiać z panem w obecności pańskiego brata.

— Rzeczywiście pan nie mógł. Proszę o wybaczenie.

Dokumenty były niewątpliwie prawdziwe. Komisarz uprzytomnił sobie, że cała ta sprawa może mieć dla niego i dla jego podwładnych przykre następstwa. Dlatego poprosił o wybaczenie. Ale pytał dalej, bo intrygowała go jeszcze jedna rzecz.

— Z tego, co pan powiedział, wnoszę, że był pan już w Reinswalden i spotkał się z hrabią?

— Tak. I z jego bliskimi też.

— Mój Boże! W tym stroju?

— Przecież mówiłem panu, że kupiłem te rzeczy dopiero niedawno, tu w Moguncji.

— Ach, tak. Zapomniałem. Przedstawił się więc pan w narodowym stroju meksykańskim?

— Boże uchwaj! Nie zrobiłem z siebie widowiska.

— Więc jak pan był ubrany?

— O tak — sięgnął do worka i wyciągnął odzież, bliźniaczo podobną do tej, w której wystąpił w Reinswalden: starą brązową kurtkę wełnianą i spodnie, których od wielu lat nie

prano.

Urzędnik cofnął się o kilka kroków.

— Hm...

— Ma pan przecież dosyć pieniędzy, aby ubrać się inaczej!

— Uczyniłem to właśnie.

— To, co teraz pan nosi, jest jeszcze śmieszniejsze! Nie mogę pana zapewnić, że nie będzie pan po raz drugi zatrzymany. I naprawdę panu radzę, abyś się przebrał.

— Nie robię nic złego. Czy człowiek nie ma prawa ubierać się tak, jak mu się podoba?

— Owszem, o ile nie zakłóca porządku publicznego.

— No, więc pragnę skorzystać z tego prawa. Jakże tam z całą więzienia?

— Skoro się pan wylegitymował, jest pan wolny.

— Dziękuję więc panu za przyjemną rozmowę. Czy wie pan, dlaczego nie chcę się przebrać? Bo liczę na więcej takich właśnie przyjemnych rozmów. Jestem kawalarzem i nic nie sprawia mi takiego zadowolenia, jak kpiny z innych. Adios, senior comisario!

Włożył wszystko do worka, po czym przerzucił go przez plecy razem ze strzelbą, w rękę wziął puzon i opuścił pokój.

— Co to za człowiek! — zawołał komisarz. — Tak dziwnego osobnika, póki żyję, nie widziałem!

— Znów się tłum zbierze! — powiedział jeden z policjantów.

— Niestety. Jego to bawi.

— Czy nie można byłoby wysłać za nim któregoś z naszych w cywilu, aby uchronić go przed zbyt wielkim zbiegowiskiem?

— Dobra myśl! Trzeba go doprowadzić do samego dworca — zdecydował komisarz.